

**JERZY
ŻUŁAWSKI**

ZWYCIĘZCA

Jerzy Żuławski

Zwycięzca

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23524466

Zwycięzca: Fundacja Nowoczesna Polska;

Аннотация

Przełom XXIX i XXX wieku. Na Księżycu żyje już kolejne pokolenie zrodzone z ludzi. Księżycanie czekają na Starego Człowieka, którego uważają za swoje bóstwo i wierzą, że wróci jako młodzieniec, by pomóc im zwyciężyć księżycowych autochtonów – złowrogich szernów. Kiedy na Księżycu ląduje Marek, Ziemianin, natychmiast zostaje uznany za wyczekiwanego Zwycięzcę. Wkrótce jednak wśród niektórych przedstawicieli księżycowej społeczności pojawiają się wątpliwości, czy aby na pewno Marek jest wyczekiwanym zbawicielem... Zwycięzca to druga część Trylogii Księżycowej Jerzego Żuławskiego, wydana po raz pierwszy w 1910 roku. Żuławski ukazuje zarówno konfrontację ludu z wyczekanyim zbawicielem oraz rozterki, które zachodzą u samego uznanego za zbawiciela, nie szczędząc przy tym niepokoju, który zasiewają mroczni szernowie i ich działania...

Содержание

Część pierwsza	4
I	4
II	32
III	60
IV	80
V	99
Конец ознакомительного фрагмента.	109

Jerzy Żuławski

Zwycięzca

Część pierwsza

I

Malahuda drgnął i obrócił się w karle¹ gwałtownie. Szelest był wprawdzie tak lekki, lżejszy, niż wydać mogła opadająca karta w pożółkłej księdze, którą czytał, ale ucho starca pochwyciło go natychmiast w tej bezdennej ciszy świętego miejsca.

Oślonił oczy dłonią przed światłem rozjarzonego do połowy pajaka², który zwisał u sklepionego stropu, i spojrzał ku drzwiom. Były otwarte, a w nich – zstępując właśnie z ostatniego stopnia, z jedną nogą w powietrzu jeszcze zawieszoną – stała młoda dziewczyna. Była naga, jak kobiety niezamężne zwykły w noc chodzić po domu, z ramion tylko zwisało jej puszyste białe futro, z zewnątrz i wewnątrz jednakowym miękkim włosom

¹ *karło* (daw.) – rodzaj niewysokiego krzesła z podłokietnikami, o nogach z przodu i z tyłu uformowanych w kształt cyfry X; niekiedy z oparciem, częściej bez, czasem wyściełane materiałem lub skórą. [przypis edytorski]

² *pajak* – tu: żyrandol wieloramienny (sześć- lub ośmio-) zawieszany u sufitu sal bawialnych, świetlic i innych większych pomieszczeń. [przypis edytorski]

pokryte.

Zupełnie z przodu rozwarte i mające jeno³ szerokie otwory na ręce w miejsce rękawów, spływało miękką falą po jej młodym ciele aż po drobne kostki stóp, w płytke białe ciżmy futrzane obutych. Włosy jej złotorude zwinięte były ponad uszyna w dwa ogromne węzły, z których jeszcze wolno puszczone końce kos⁴ opadały na ramiona, rozsypując złote iskry po śnieżnej bieli futra. Na szyi miała sznur bezcennych purpurowych bursztynów, które według podania należały przed wiekami do świętej kapłanki Ady – i z pokolenia w pokolenie przechowywane były jako klejnot najdroższy w rodzinie arcykapłana Malahudy.

– Iheza!

– Tak, to ja, dziadku.

Stała wciąż we drzwiach, biała na tle ciemnej, zionącej czeluści wiodących gdzieś w górę schodów, z ręką na kutej kłamce, patrząc ogromnymi czarnymi oczyma na starca.

Malahuda powstał. Drżącymi rękoma zgarniał leżące przed nim księgi na marmurowym stole, jak gdyby je chciał ukryć, nierad i pomieszany... Mamrotał coś do siebie, poruszając szybko wargami, brał ciężkie foliały i przekładał je bez celu na drugą stronę, aż naraz zwrócił się ku przybyłej:

– Czy nie wiesz, że oprócz mnie nikomu tutaj wchodzić nie wolno? – rzekł niemal gniewnie.

– Tak... ale... – urwała, jakby szukając słów.

³ jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

⁴ kosa (daw.) – warkocz. [przypis edytorski]

Duże oczy jej, jak dwa ptaki szybkie i ciekawe, przeleciały po tajemniczej komnacie, muskając olbrzymie, bogato rzeźbane i złotem nabite skrzynie, w których księgi święte chowano, zatrzymały się chwilę na dziwnych ozdobach czy znakach tajemnych z kości i złota na wykładanych gładzoną ławą ścianach – i powróciły znów na twarz starca.

– Wszakże teraz już wolno – rzekła z naciskiem.

Malahuda w milczeniu odwrócił się i poszedł w głąb ku wielkiemu zegarowi, który całą wysokość ściany zajmował. Przeliczył spadłe już kule w miedzianej misie i spojrzał na wskazówki.

– Jeszcze trzydzieści dziewięć godzin do wschodu słońca – rzekł twardo – idź i śpij, jeśli nie masz co robić...

Ihezał nie poruszyła się. Patrzyła na dziadka, podobnie jak ona w domowy strój odzianego, jeno że futro miał na sobie lśniące, czarne i pod nim kaftan i spodnie z miętko wyprawnej, czerwono barwionej psiej skóry, a na siwych włosach złotą obręcz, bez której nie wolno było nawet arcykapłanom wchodzić do miejsca świętego.

– Dziadku...

– Idź spać! – powtórzył stanowczo.

Ale ona nagłym ruchem przypadła mu do kolan.

– *On przyszedł!* – krzyknęła z radosnym, przemocą dotychczas powstrzymywanym wybuchem – dziadku, on przyszedł!

Malahuda cofnął rękę i usiadł z wolna w karle, spuszczać na pierś bujną, siwą brodę.

Dziewczyna patrzyła na niego teraz z niewysłownym zdumieniem.

– Dziadku, dlaczego nie odpowiadasz? Od dziecka, ledwo mówić zaczęłam, uczyłeś mnie, jako pierwszego słowa, tego pozdrowienia odwiecznego, które nas, ludzi, odróżnia od zwierząt i podlejszych od nich szernów, i gorszych, bo postać ludzką noszących, morców – i witałam cię zawsze, jak należy, słowami: „On przyjdzie!” – a ty zawsze odpowiadałeś, jako należy: „Przyjdzie zaprawdę!” – Dlaczegoż teraz, kiedy ten wielki, szczęśliwy dzień nam zawitał, że mogę zawołać do ciebie: „On przyszedł” – ty mi nie odpowiadasz „Przyszedł, zaprawdę!”?

Mówiła szybko, zapalczywie, z dziwnym gorączkowym błyskiem w oczach, chwytając oddech białą pierśią, po której falowały, skrząc się w odbitych miedzianymi zwierciadłami światłach, bezcenne purpurowe bursztyny świętej kapłanki Ady...

– Dziadku! prorok Tuheja, którego pono starcem znali jeszcze pradziadowie twoi, napisał był ongi: „Przyjdzie w dniu największego uciśnienia i lud swój wybawi. A jako odszedł był od nas starcem w on dzień, bo nigdy młodym nie był, tak powróci po dopełnieniu czasów młodzińcem światłym i promiennym, albowiem nigdy już starym nie będzie!”. Dziadku! on jest tam! On idzie! Powrócił z Ziemi, na którą odszedł był przed wiekami, aby wypełnił, co przyobiecał przez usta pierwszej swej prorokini Ady – idzie w glorii i majestacie, młody, zwycięski, piękny! O! kiedyż ten świt nadejdzie! kiedyż go będę mogła ujrzeć i pod

nogi jego błogosławione rzucić te włosy!

To mówiąc, szybkim, prawie nieświadomym ruchem – u nóg starca schylona – rozerwała węzły kos ponad uszyna, zalewając posadzkę malachitową wonnym, miałkim, złotym potopem.

Malahuda milczał wciąż. Zdawać się mogło, że nie widzi nawet klęczącej przed nim dziewczyny ani nie słyszy potoku jej słów. Oczy przygasłe i zamyśłone zwrócił w głąb komnaty – przez przyzwyczajenie może? – gdzie w mroku błyszczał na ścianie odbłaskami świecznika złoty znak święty, wyobrażać mający wychyloną zza widnokregu Ziemię ze stojącym nad nią Słońcem, tak jak są widywane każdej północy przez Braci Wyczekujących w *Kraju Biegunowym*...

Ihezał mimo woli poszła oczyma za jego wzrokiem ispostrzegła wyłaniające się z mroku dwie złączone tarcze złociste na czarnym marmurze⁵, wyrażające tak prostym sposobem wszystkie wielkie tajemnice, z wieku na wiek, z pokoleń na pokolenie przekazywane: jako że ludzie przyszli na Księżycz Ziemi, gwiazdy ogromnej, świecącej nad bezpowietrzną pustynią, i że tam odszedł On, Stary Człowiek (który to imię przybrał i nim się kazał nazywać, nie pozwalając wymawiać innego) – i stamtąd powróci zwycięskim młodzieńcem i wybawicielem. Nabożny lęk ją objął, uniosła się i wielkim palcem prawej dłoni nakreśliła szybko na czole koło, a potem większą część od jednego ramienia przez usta ku

⁵ dwie złączone tarcze złociste na czarnym marmurze – w tym miejscu w tekście znajduje się odpowiedni rysunek. [przypis edytorski]

drugiemu – i liniępoziomą przez pierś, szeptaając jednocześnie zwykłe słowazaklęcia: „On nas wybawi – pognębi wroga naszego – takbędzie zaprawdę”.

Malahuda powtórzył jak echo:

– Tak będzie, zaprawdę... – Jakiś spazm gorzkiego bólu czy ironii zdławił mu ostatnie słowo w gardle.

Ihezał spojrzała mu w twarz. Milczała przez chwilę, a potem nagle, uderzona snadź czymś niezwykłym, a dopiero teraz w obliczu starca spostrzeżonym, odskoczyła w tył, krzyżując ręce na nagiej, spod rozwartego futra wychylającej się piersi.

– Dziadku!...

– Cicho, dziecko, cicho.

Powstał i chciał ją ująć za dłonie, ale ona mu się usunęła. A potem krzyk:

– Dziadku! ty... nie wierzysz, że to... On?!

Stała o parę kroków przed nim, z naprzód wyciągniętą szyją, z szeroko rozwartymi oczyma i rozchylonymi ustami⁶, wyczekująca odpowiedzi, jakby życie jej od słów, które miała usłyszeć, zawisło.

Arcykapłan spojrzał na wnuczkę i zawahał się.

– Proroctwa się wszystkie zgadzają i jeżeli kiedykolwiek miał przyjść Zwycięzca...

Urwał i zamilkł. Miałże powiedzieć⁷ tej tak wierzącej

⁶ *rozchylonymi usty* – dziś: rozchylonymi ustami. [przypis edytorski]

⁷ *miałże powiedzieć* – konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: czy miał powiedzieć. [przypis edytorski]

dziewczynie o tym, do czego po długiej walce zaledwie sam się śmiał przyznać przed sobą i co jeszcze od starego serca wszelkimi siłami odpychał? Miałże jej powiedzieć, że on, arcykapłan, stróż Prawdy i Tajemnicy, ostatni z odwiecznego i wygasającego już na nim kapłanów rodu, on – przodownik wszystkiego ludu, mieszkającego na północnym brzegu *Wielkiego Morza*, hen daleko na wschód poza śnieżnym szczytem zionącego ogniem *Otamora*, przy *Ciepłych Stawach*, najstarszej księżycowej osadzie, i dalej poza *Przesmykiem* na zachód i na północ, aż po *Stare Źródła*, któreśdy droga w *Kraj Biegunowy* wiedzie i kędy przed wiekami pono pierwszy raz błogosławioną naftę odkryto – miałże powiedzieć on, który całe długie życie szanował i przykazywał wierzyć w przyjście Zwycięzcy: że teraz, kiedy doniesiono mu, iż przyszedł zaprawdę, on przestał wierzyć, że miał przyjść w ogóle?

Sam nie umiał dobrze zdać sobie sprawy z tego, co w nim zaszło, czy też snadź⁸ wydobyło się na wierzch z nieświadomej jakiej głębi wobec tej wstrząsającej wiadomości.

Przed zachodem słońca odbywał jeszcze zwykłe z ludem modlitwy i kazał⁹, cytując słowa ostatniego proroka Tuhei, właśnie teraz przez tę dziewczynę mu odrzucone... Czynił tak co dzień, przez długi ciąg swego żywota, od kiedy został kapłanem – i wierzył tak od dziecka, przez ojca swego,

⁸ *snadź* (daw.) – tu: przecież, wszakże. [przypis edytorski]

⁹ *kazać* – tu: mówić kazanie; wygłaszać mowę umoralniającą. [przypis edytorski]

arcykapłana Bormitę, nauczony, że Stary Człowiek ongi¹⁰ żył między swoim ludem i odszedł na Ziemię przed wiekami, i powróci znów młodzieńcem, aby lud swój wybawić. Ta wiara była dla niego tak jasna i tak prosta. Nawet nie zastanawiał się nad nią głębiej, nie zwracał nawet nigdy uwagi na dowodzenie „uczonych”, którzy utrzymywali, że historia o ziemskim pochodzeniu ludzi na Księżycu jest zwykłą, w ciągu wieków powstałą legendą, że żaden „Stary Człowiek” nigdy nie istniał ani też nigdy żaden „Zwycięzca” z międzygwiazdnych przestrzeni nie zejdzie... Nauk takich on nie zwalczał nawet, odstępując pod tym względem od starego zwyczaju, który i ojciec jego, arcykapłan Bormita, jeszcze zachowywał, od zwyczaju, co kazał kacerzy¹¹ do słupa przywiązanych na morskim wybrzeżu kamienować. Kiedy kapłani, jego podwładni, domagali się tej kary, kiedy wołali o nią na bluźnierców, zwłaszcza zaciekli Bracia Wyczekujący, on wzruszał tylko ramionami ze spokojem i wielką pogardą w duszy – zarówno dla tych, co kamieniami chcieli wiarę umacniać, jak i dla owych, litości godnych szaleńców, którzy ludzkim słabym rozumem dociekać usiłowali rzeczy niedocieczonych, zamiast wierzyć z błogą radością w gwiazdne swoje pochodzenie i w Obietnicę, która się kiedyś spełni...

Między innymi pobudek tej łagodności jego pojąć nie mógł mnich Elem, przełożony zakonu Braci Wyczekujących, i gromić

¹⁰ *ongi* – niegdyś, kiedyś dawniej. [przypis edytorski]

¹¹ *kacierz* – odstępca religijny; heretyk. [przypis edytorski]

go śmiał nieraz przez posty za ten brak gorliwości w rzeczach świętych – ale czyż nie on, Malahuda, był panem, królującym w odwiecznej arcykapłańskiej stolicy przy *Ciepłych Stawach* wszystkiemu ludowi księżycowemu? Sądzić mu należało, a nie być sądzonym. On to raczej mógł Elema potępić i wszystkich z nim razem Braci Wyczekujących za kacerstwo widoczne, iż nadejście Zwycięzcy każdego dnia już obiecywali, nie bacząc, że wszyscy prorocy na przyszłość jezapowiedzieli... Nierad też był powadze i wpływowi, jaki sobie Bracia wśród ludu zyskać umieli. Nie opuszczali oni wprawdzie nigdy siedzib swoich w *Kraju Biegunowym* – zakon im tego zabraniał – ale co rok (tak dziwnie: „rokiem”, nazywano na Księżycu okres na przemian dwunastu i trzynastu dni posiedemset dziewięć godzin, odpowiadający czasowi przejścia słońca przez zodiak; opowiadają, że ten podział czasu ludzie z sobą z Ziemi przynieśli) – otóż co roku, zwłaszcza dnia dwunastego, który jest świętym i pamiątkowym dniem odejścia Starego Człowieka, odbywały się tłumne pielgrzymki do *Kraju Biegunowego*, nastreczające dla Braci Wyczekujących dość sposobności oddziaływania na lud.

Nie w mocy Malahudy było zakazać tych pielgrzymek, tradycją wieków uświęconych, choć niechętnym na nie patrzył okiem, widząc, jak Bracia lud demoralizują i odciągają od zadań życia realnych, obiecując mu rychłe już przyjście Zwycięzcy...

Zapewne, i on – Malahuda – w przyjście Zwycięzcy wierzył niezłomnie, ale zdawało mu się to zawsze czymś tak odległym, czymś, co jest prawie że tylko obiecany, tak że gdyby go

był kto zapytał: czy przypuszcza możliwość doczekania się za swego żywota owego Przyjścia? – byłby z pewnością odczuł takie pytanie jako naruszenie dogmatu, orzekającego, iż Przyjście w przyszłości nastąpi... Wszakże prorok Ramido powiedział był wyraźnie: „Nie nasze oczy i nie oczy synów naszych ujrzą Zwycięzcę – ale przyjdą po nas ci, którzy go twarzą w twarz oglądać będą”. A cóż, że prorok Ramido przed stu kilkudziesięciu laty umarł?...

Tak było aż do wczorajszego dnia wieczorem. Skończył był właśnie modły z ludem i stał jeszcze na szerokim tarasie przed świątynią, tyłem do zachodzącego słońca i morza odwrócony – i ręce do ostatniego wieczornego podnosząc błogosławieństwa, odwieczne wymawiał pozdrowienie: „On przyjdzie!” – kiedy wśród ludu zgromadzonego ruch się wszczął jakiś i niepokój. Bliżej stojący odpowiedzieli mu jeszcze zwykłymi słowy: „Przyjdzie zaprawdę...”, ale ci, którzy dalej stali, odwracali się już poza siebie, wskazując dłońmi dziwną grupę, która się szybko ku świątyni zbliżała.

Malahuda spojrział i zdumiał się. Pośród małej garstki zebranych snadź¹² przypadkowo przechodniów szli, a raczej biegli dwaj Bracia Wyczekujący. Poznał ich z dala po odkrytych ogolonych głowach i długich szarych szatach, jakie mieli na sobie. Nieopodal stał wózek psami zaprzężony, którym snadź tu przybyli. Już samo zjawienie się mnichów, nieopuszczających w ciągu życia nigdy swych siedzib, było czymś niesłychanym,

¹² snadź (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

ale miary zdumienia starego kapłana dopełnił sposób ich zachowania się, wprost niepojęty. Patrzył i sądził, że ma ludzi szalonych przed sobą, nie śmiał bowiem przypuszczać, aby się popili mnichowie¹³, nieznający wedle ślubów trunku żadnego. Biegli krokiem tanecznym, w płasach, wymachując rękoma i z rozpromienioną twarzą rzucali naokół jakieś okrzyki, których treści nie mógł pojąć z dala. A lud w dole słyszał je i rozumiał snadź, bo ciżbą¹⁴ całą poczał się naraz tłoczyć ku przybyłym – ruchliwy, oszalały a krzyczący, tak iż niewiela, a Malahuda sam został na stopniach świątyni ponad opustoszałym placem. W tejże jednak chwili uderzyła na niego powrotna fala tłumu. Nim mógł zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, spostrzegł około siebie twarze oszalałe obłądną jakąś radością, podniesione ręce i setki gęb rozwartych a krzyczących: lud cały pchał się teraz na stopnie świątyni, a na przedzie szli obaj Bracia na rękach niemal niesieni i wołający z płaczem naraz i śmiechem:

– On przyszedł! On przyszedł!

Nie rozumiał i długo jeszcze pojąć nie mógł, choć Bracia opowiadali mu, że spełniona jest wielka obietnica i dokonany czas przez proroków naznaczon, bo oto poprzedniego dnia o godzinie, kiedy w *Kraju Biegunowym* słońce staje nad zaćmioną Ziemią, powrócił po wiekach do ludu swego On, Stary Człowiek – odmłodzony i promienny, Zwycięzca i wybawiciel!...

„Bracia Wyczekujący” przestali już istnieć – są oni teraz

¹³ *mnichowie* – dziś popr. forma M.lm: mnisi. [przypis edytorski]

¹⁴ *ciżba* – tłum. [przypis edytorski]

„Braćmi Radosnymi” – po dwóch rozesłani idą z dobrą nowiną do wszystkich plemion księżycowych, nad brzegiem *Wielkiego Morza* i w głębi lądu nad strumieniami zamieszkałych, wieścić przyjdzie Zwycięzcy, koniec złu wszelakiemu i wybawienie z ręki szernów i morców!

A oto za nimi, razem z Elemem i kilku dla towarzystwa pozostałymi Braćmi, idzie On sam, Zwycięzca – i kiedy świt nowy wzejdzie, zjawi się ludowi tutaj, nad brzegiem *Morza Wielkiego*...

Tak mówili Bracia – wyczekujący niegdyś, a dzisiaj już radośni, a lud cały przed arcykapłanem śmiał się i płakał, i w płasch a okrzykach słał Najwyższego, który dopełnił danych prorokom obietnic.

Malahuda wzniósł ręce. Szał radosny jak fala ogarnął w pierwszej chwili i jego. Stara pierś wzdęła mu się uczuciem niewysłowionej, rzewnej wdzięczności, że teraz właśnie, w porze ucisku srogiego i w dniu gorzkiej niedoli, Zwycięzca przychodzi – oczy zaszły mu łzami, a gardło ścisnął spazm serdeczny, dławiąc w nim okrzyk weselny, który się już z głębi duszy dobywał... Zakrył oczy dłońmi i rozplakał się wobec ludu na stopniach świątyni.

Lud patrzył z szacunkiem na łzy arcykapłana, a on trwał tak długo z zakrytą twarzą i głową na pierś pochyloną... I przyszło mu na myśl całe życie jego, wszystkie tęsknoty i uniesienia – i wszystko, na co patrzył oczyma swoimi: klęski ludu i nieszczęścia, i pogębienie, które on koił, powtarzając

wciąż świętą, a spełnioną już dziś Obietnicę... Tęsknośc jakaś rozlewna zajęła teraz w sercu jego miejsce poprzedniej radości.

– Bracia moi! bracia... – zaczął, wyciągając drżące od starości i wzruszenia ręce ponad falującym tłumem... I nagle spostrzegł, że nie wie, co ma powiedzieć. Zawrót jakiś, tak niesłychanie do lęku podobny, spadł mu na głowę i pierś. Westchnął głęboko, chwytając oddech kurczowo, i zakrył znów oczy. Pod czaszką zahuczał mu dziwny, opętany wir, z którego tylko jedna uporczywa myśl jasno się wyłaniała, ta myśl: „Odtąd będzie inaczej!”. Uczuł, że odtąd będzie inaczej, że cała wiara, oparta na Obietnicy i oczekiwaniu, przestaje po prostu istnieć z tą chwilą, a na jej miejsce przychodzi coś nowego, coś nieznanego...

Lud tańczył wokoło i wznosił pomieszane, weselne okrzyki, a jemu, arcykapłanowi, w tej wielkiej i radosnej chwili dziwny, bolesny żal wszedł do serca za tym wszystkim, co było: za tymi modłami o zachodzie słońca, którym on przewodniczył, za tą wiarą, za oczekiwaniem, że przyjdzie dzień nareszcie, że dzień zaświta...

I nie wiadomo dlaczego, pomyślał nagle, że Bracia Wyczekujący kłamią. Przeląkł się zrazu tej myśli, gdyż spostrzegł, iż łączy się z nią prawie że nadzieja, prawie życzenie, aby tak było. Przycisnął pierś rękoma i pochylił głowę, kajając się w duchu niedowiarstwa swego, ale myśl pierwsza wracała ciągle, szepcząc mu natarczywie w ucho, że przecież on, arcykapłan, jest stróżem wiary i nie wolno mu tak na słowo przyjmować za

prawdę wieści, podstawami jej wstrząsających...

Świadomość obowiązku uderzyła mu nagle do głowy i zapanowawszy nad innym uczuciem, przywróciła równowagę wewnętrzną. Zmarszczył brwi i spojrzał bystro na wysłanników. Ci jednak, ludzie prości, skromni i nieuczeni, siedzieli teraz na stopniach u jego nóg, podróżą i krzykiem radosnym znużeni – i tylko z fanatycznie wciąż rozpłomienionymi oczyma mruczeli zachrypłym głosem, odpowiadając sobie na przemian, pieśń jakąś starą, ze spełnionych już dzisiaj proroctw złożoną... Serca ich czyste i jasne, wielką radością rozpalone, nie przeczuwały nawet rozterki, jaka się w duszy zwierchnika ludu toczyła.

„Z gwiazd przyszli ludzie! tak rzekł Stary Człowiek!” – śpiewał Abelar, wiekiem i trudami zakonnego czuwania pochylony.

„I na gwiazdy kiedyś powrócę! tak rzekł Stary Człowiek!” – odpowiadał mu młody, radosny głos Renoda.

„Albowiem przyjdzie Zwycięzca i lud swój wybawi!”

„Przyjdzie zaprawdę! Radujmy się!”

Lud tymczasem parł się już na stopnie świątyni i wołał arcykapłana po imieniu, z długiego jego milczenia niezadowolony. Zmieszane bezładne głosy wyzywały go do jakichś nieokreślonych czynów, to znowu żądały od niego potwierdzenia radosnej nowiny albo też wołały, aby drzwi świątyni otworzył i zebrane wiekami skarby rozdał ludowi w tym dniu na znak, iż wypełniona jest Obietnica i wesele odtąd na całym Księżycu ma panować.

Chłop jakiś stary podszedł ku niemu i targnął za szeroki rękaw czerwonej kapłańskiej szaty, kilka kobiet i niedorostków wyminęło go, przekraczając niedostępny o zwykłej porze próg świątyni – ciżba i nieporządek rosły dokoła.

Malahuda wzniosł głowę. Za bliski już i zbyt poufały był mu ten tłum... Po chwili zmieszania i słabości uczuł się znowu panem i przewodnikiem. Skinął ręką na znak, że chce mówić i powiedział krótko, spokojnie, że przyszła wprawdzie wieść, jakoby spełniona już była Obietnica, ale on, arcykapłan, zbadać wpierw wszystko musi, nim razem z ludem szaty radosne przywdzieje, i przeto chce, aby go zostawiono w pokoju¹⁵ razem z wysłannikami.

Ale tłum, posłuszny zazwyczaj na pierwsze skinienie, tym razem zdawał się słów naczelnika swego nie słyszeć. Wołano dalej i rozprawiano żywo. Byli tacy, którzy krzyczeli, że Malahuda utracił już władzę i nie powinien rozkazywać, kiedy przyszedł Zwycięzca, oczekiwany i jedyny na Księżycu pan. Inni nie chcieli iść do domów, utrzymując, iż dnia tego słońce nie zajdzie, aby się wypełniły dość niejasne słowa proroka Rochy, który powiedział był: „A kiedy przyjdzie On, dzień już nastanie wieczny”...

Słońce jednakowoż zachodziło – z wolna, ale stanowczo, jak dnia każdego, krwawiąc szeroką łuną nieboskłon i rozzłoconą w gęstych oparach wodę *Ciepłych Stawów*. Krwawiło sięteż morze rozległe i dachy szeroko na wybrzeżu rozsiadłej osady – a w

¹⁵ w *pokoju* – tu: w spokoju. [przypis edytorski]

dali – nad nią – błyszczały w słońcu trzy szczyty kamiennej wieży, w której na pohańbienie ludu mieszkał szern Awij, w otoczeniu żołnierzy swoich i morców, przysłany tutaj zza *Morza Wielkiego*, aby na znak poddaństwa haracz ze wszech ludzkich osad pobierać.

Nie wiadomo, kto pierwszy zwrócił w ten wieczór oczy na owo zamczysko, ale nim Malahuda spostrzegł, co się dzieje, wszystkie twarze – groźne – patrzyły już w tamtą stronę i podniosły się w górę ręce, uzbrojone naprędce w kije i kamienie. A przed tłumem, na przydrożnym głazie, stał w łunie zachodzącego słońca młody, czarnowłosy Jeret, daleki krewny arcykapłana, i wołał:

– Czyż nie jest obowiązkiem naszym oczyścić dom na przyjęcie Zwycięzcy? Wszakże pogardziłby nami i jako niegodnych od oblicza swego odtrącił, gdybyśmy jego tylko dłońmi chcieli zwyciężyć!

A tłum ryczał za nim:

– Na hak Awija! Śmierć szernom! śmierć morcom!... – i walił się już ławą¹⁶ ku czarnej wieży w oddali.

Malahuda pobladł. Wiedział, że załoga w zamku nie jest zbyt liczna i że tłum rozżarty może roznieść dziś całą twierdzę, tak iż nie pozostanie kamień na kamieniu, ale wiedział też, że za Awijem i jego garstką stoi cała straszliwa i zgubna potęga szernów – i że jedno ściętno zerwane w skrzydle obrzydłego namiestnika znaczy znów wojnę nieubłaganą dla

¹⁶ ławą – szeregiem (o sposobie atakowania). [przypis edytorski]

całego ludzkiego plemienia, a może znów klęski straszne i niewypowiedziane pogromy, jako za dawnych lat, za pradziada jego bywało.

Począł krzyczeć, aby się wstrzymali, ale głosu jego teraz nikt już nie słuchał, mimo że i obaj Bracia Wyczekujący tłumowi zastąpili drogę, wołając, że nie wolno pełnić niczego przed przybyciem Zwycięzcy, który jeden ma prawo wieść¹⁷ i rozkazywać.

Jeret pchnął starszego z mnichów w pierś, aż upadł w tył na kamienie – i walił naprzód razem z całym tłumem wąskim przesmykiem między stawami.

Wtedy Malahuda uderzył w dłonie i na ten znak z dwóch dolnych skrzydeł gmachu, obok stopni wiodących do głównych wrót świątyni, sypać się poczęli zbrojni ludzie, kopijnicy, łucznicy i procarze, stała straż arcykapłana i miejsca świętego tworzący.

Jak zgaja dobrze wytresowanych psów na jedno ręki skinieniem zwrócili się na prawo i zwartym szeregiem, z gotową do uderzenia bronią w dłoniach, zastąpili przejście ludowi.

Jeret zwrócił się twarzą ku arcykapłanowi.

– Każ bić, stary psie! – ryczał spieniony – każ bić! niech przychodzący Zwycięzca nasze trupy tutaj zastanie zamiast wrogów ścierwa podłego! niech wie, że oprócz szernów i własni nas gnębią tyrani, z którymi też porządek zrobić należy!

Chwila była groźna. Tłum miotał wyzwiska i rzucał już

¹⁷ wieść – tu: przewodzić. [przypis edytorski]

na zbrojnych kamieniami, którzy stali dotychczas spokojni i niewzruszeni pod gradem obelg i pocisków, ale po drgających twarzach i zaciśniętych kurczowo pięściach znać było, że dość pół słowa rozkazu, dość skinienia, mrugnięcia powiek bodaj, a pójdą ławą i będą tłukli i łamali, obojętni dla sprawy, za którą na rozkaz się biją, lecz radzi, że bić im pozwolono ten wrogi im zawsze i nienawistny tłum.

A ze zgrai coraz gęściej podnosiły się okrzyki wrogie dla arcykapłana. Wyzywano go i kłęto, wołano, że jest sługą i przyjacielem szernów, i rzucono mu w oczy haniebny pokój, który był zawarł z nimi, mimo że ongi sławiono go jako zbawcę, iż tym pokojem właśnie lud od zguby ocalił.

Malahuda zwrócił się ku zbrojnym. Wznosił już rękę, aby dać znak, gdy nagle poczuł, że ktoś go chwyta za przegub dłoni i gwałtownym ruchem powstrzymuje. Obrócił się oburzony: za nim stała złotowłosa Ihezal.

– Ty!...

– On przyszedł! – wyrzekła twardo, rozkazując prawie, z rozplonionym¹⁸ wzrokiem, nie puszczając z uścisku ręki starca.

Malahuda się zawahał. A jej oczy nagle zapełniły się łzami, osunęła się na kolana i przyciskając usta do dłoni, którą od wydania krwawego rozkazu powstrzymała, powtórzyła cicho i błagalnie:

– Dziadku! On przyszedł...

Arcykapłan, stanowczy zawsze i mimo wielką łaskawość, gdy

¹⁸ *rozploniony* – dziś: rozplomieniony. [przypis edytorski]

postanowił coś, nieubłagany, uczuł w tej chwili, po raz pierwszy w życiu, że musi ustąpić... A przy tym ogarnęło go dziwne zniechęcenie, niemal bezwład duchowy. Wszak jutro ma tu przyjść ten, co odtąd władać pono będzie miast niego, niechaj więc już on sam...

Wdano się w układy z tłumem mimo namiętnej opozycji Jereta. Zapadająca noc ułatwiła porozumienie. Tłum zgodził się ustąpić pod warunkiem, że zbrojni otoczą wieżę i przynależny do niej ogród warowny – i noc całą długą, czuwając na przemian, w namiotach przepędzą, aby snadź¹⁹ przed ranem, zasiągnąwszy²⁰ języka, nie umknął kto z tych, przyjdziem Zwycięzcy na śmierć już skazanych.

Teraz dopiero mógł Malahuda zabrać obu wysłanników, aby zbadać dokładnie wieść, którą przynieśli.

Przybysze zmęczeni byli i senni, kiedy arcykapłan skinął na nich i wiódł przez kręte kruzganki świątyni, które łączyły się z jego prywatnym mieszkaniem. Cień już zalegał przejścia i sale; tu i ówdzie jeno²¹ rozpalał się w czerwonym świetle nafcianej pochodni złocisty znak Przyjścia: dwa połączone półkrygi Ziemi i Słońca... Coraz cięższe przygnębienie ogarniało starego arcykapłana. Patrzył na święte znaki po ścianach, na majaczące w mroku stołby²² ołtarzy i kazalnice, kędy²³ razem z wybranymi

¹⁹ *snadź* (daw.) – tu: przecież, wszakże. [przypis edytorski]

²⁰ *zasiągnąwszy* – dziś: zasięgnąwszy. [przypis edytorski]

²¹ *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

²² *stołb* a. *stołp* (daw.) – wolno stojąca wieża obronna, wzniesiona w obrębie murów

wśród ludu modlił się o zesłanie Zwycięzcy i skąd niewątpliwe Przyjście jego wieścił – i dziwna, gorzka czczość wypełniała mu serce. Wieczorna pustka świątyni wydała mu się czymś strasznym, a odtąd stałym i już niezmiennym: odczuł po raz drugi, że upragnione Przyjście jest przede wszystkim zniszczeniem tego, co było, unicestwieniem religii oczekiwania, *zrosłej*²⁴ już z jego duszą...

Było mu, jakby kto powrozem jakimś twardym pierś jego opłatał i ścisnął – tak mocno, że nie może chwycić oddechu, a każdy wysiłek mięśni, aby zaczerpnąć powietrza, jako ból gryzący odczuwa. Obejmowało go bezradne a nieubłagane przerażenie. To, o czym sam wieścił zawsze, że przyjdzie w przyszłości jako wyzwolenie, zdało mu się teraz, gdy przyszło tak niespodziewanie (mimo proroctwa, mimo zapowiedzi, mimo wiarę ciągłą – tak niespodziewanie!), czymś przygniatającym i strasznym.

Za każdą cenę nie chciał – tak jest, nie chciał – wierzyć temu, co się stało. Teraz już, idąc przez puste krużganki z przybyłymi z wieścią posłami, nie taił nawet przed sobą, że wprost pragnie, aby się wieść okazała fałszywą.

Ale wysłannicy, gdy wreszcie samotrzeć²⁵ z nimi się zamknął,

zamku; donżon; tu: podwyższenie, na którym wewnątrz budynku umieszczono ołtarz itp. [przypis edytorski]

²³ *kędy* (daw.) – gdzie. [przypis edytorski]

²⁴ *zrosły* – dziś: zrosnięty. [przypis edytorski]

²⁵ *samotrzyć* (daw.) – sam z dwoma towarzyszami, tj. we trzech. [przypis edytorski]

dawali takie niezbite dowody i mówili takim tonem przekonania, że niepodobna było dłużej wątpić o prawdzie ich słów. Senność ich odbiegła, gdy poczęli – po raz setny już może – mówić o tym, na co własnymi patrzyli oczyma. Opowiadali, przerywając sobie wzajemnie, rzecz zaiste dziwną i niepojętą. Mówili oto, jak onego²⁶ dnia, kiedy wszyscy razem z przełożonym Elemem zajęci byli zwykłymi w obliczu Ziemi modłami, błysła ponad ich głowami lśniąca kula ogromna i spadła na sam środek begunowej równiny – i jak wyszedł z niej człowiek jasnowłosy, do księżycowych ludzi podobny, jeno²⁷ dwakroć przenoszący²⁸ ich wzrostem i dziwnie jasny, śmiejący się a mocarny. Mówili – obaj naraz, bezładnie – jak Elem, zjawisko zoczywszy²⁹, przerwał modlitwy prośbne natychmiast, a rozumiejąc, co się stało, pieśń zawiódł dziękczynną i tryumfalną i od Ziemi się już odwróciwszy, szedł ku przybyłemu Zwycięzcy w gronie oszołomionych jeszcze i na wpół nieprzytomnych Braci – i opowiadali, co słyszeli i widzieli, jako ich witał Zwycięzca i co Elem przemawiał do niego – powtarzali wszystko słowy prostymi³⁰ i nieuczonymi z zapalem wielkim i dziecięcą niemal radością w oczach.

Malahuda słuchał. Wsparł pochyloną siwą głowę na dłoni

²⁶ *on* (daw.) – ów, tamten; tu forma D. *onego*: owego, tamtego. [przypis edytorski]

²⁷ *jeno* (daw.) – tylko, lecz. [przypis edytorski]

²⁸ *przenosić* – tu: przewyższać. [przypis edytorski]

²⁹ *zoczyć* (daw.) – zobaczyć. [przypis edytorski]

³⁰ *słowy prostymi* – dziś: słowami prostymi. [przypis edytorski]

i milczał. W miarę jak Bracia opowiadali mu coraz nowe szczegóły, dotyczące dziwnego przybysza, on w myśli przebiegał proroctwa stare i zapowiedzi w odwiecznych księgach złożone, wydostawał z bogatej, latami wyćwiczonej pamięci słowa i zdania Pisma i porównywał je wszystkie z tym, co słyszał – i widział, że zgadza się wszystko co do litery. I zamiast radości, posępność coraz większa a niewytłumaczona spadała mu na duszę.

Odprawił wreszcie Braci, kiedy im już senność znużone języki plątać poczyniała, ale sam długo jeszcze nie szedł na spoczynek. Wielkimi krokami przemierzał salę i zachodził kilkakroć w opustoszałe krużganki świątyni, jak gdyby odnaleźć w nich chciał na powrót – coś... sam nie wiedział, jak to ma nazwać: wiarę? spokój? pewność? Ale troskę znajdował tylko i strach niepojęty.

Śnieg już nocny pokrywał księżycowe pola i padał dużymi płatami na marznące morskie zatoki, kiedy Malahuda, znużony i stargany wewnętrzną rozterką, udał się nareszcie do swojej sypialnej komnaty. Sen jednak nie czepiał się jego powiek tej nocy. Budził się co kilka godzin, nim nadchodziły pory zwykłych nocnych posiłków – i długo później nie mógł zasnąć. Po północy o drugim wstawaniu zaszła ku niemu Ihezał, odprawił ją jednak pod pozorem, że ma ważne zajęcia, wymagające samotności – i poszedł znów do świątyni.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, po co idzie i czego chce, aż dopiero gdy stanął w wielkiej sali u drzwi z kutej złoczonej

miedzi, znajdujących się poza wyniosłą kazalnicą, a wiodących do miejsca najświętszego, gdzie księgi prorockie chowano, zrozumiał naraz, że to było nieświadomą myślą jego od wieczora, której tylko przez dziwny lęk jakiś nie śmiał wykonać: iść tam i przejrzeć jeszcze raz te wszystkie księgi odwieczne i święte, księgi, które tylko w porze wielkich uroczystości, w drogie tkaniny owinięte, wnoszono za nim na kazalnicę, aby z nich Słowo czytał ludowi.

Tak! iść tam i tych ksiąg, którym zawsze był tylko posłuszny, spytać się nareszcie, czy nie kłamią – przebiec gasnącymi oczyma jeszcze raz ich treść, ale nie jako dotychczas bywało, ze czcią jeno a nabożeństwem, lecz z tą badawczą ciekawością, która niewątpliwie jest grzechem... Czuł, że popełnia świętokradztwo, wchodząc tu dzisiaj z tą myślą, ale nie mógł się już oprzeć... Dawnym, codziennym nałogiem sięgnął jeszcze po złotą obręcz u dźwierzy³¹ wiszącą i nakrywszy nią włosy, przycisnął zamek tajemny...

Za rozwartymi drzwiami zionęła czeluść w dół wiodących schodów. Zstępował nimi z kagankiem, od stóp kazalnicy wziętym, czytając bezmyślnie złote na ścianach napisy, które zapowiadały śmierć nagłą i klęski wszelakie tym, którzy by się tutaj bez nabożnej myśli wniść ośmielili. A potem, kiedy się już znalazł w sali podziemnej, bogatym nakrytej sklepieniem, drzwi nawet za sobą nie zamknawszy, jął z pośpiechem dobywać ze

³¹ *dźwierz* (daw.) – drzwi. [przypis edytorski]

skrzyń rzezanych³², suto drogim metalem i kamieniami nabitych, pergaminy stare, jak twarz jego pożółkłe i działaniem wieków zetłałe: karty nieliczne z prorocstwami pierwszej kapłanki Ady, jej ręką pono w *Kraju Biegunowym*, gdzie życia dokonała, spisane, a z trudem wielkim przed dwoma setkami lat od Braci Wyczekujących dobyte, i potem księgi inne, na przemian prorocтва i historię ludu zawierające, aż do grubych foliałów spisanych przez ostatniego męża bożego, Tuheję, którego znali jeszcze jego pradziadowie.

Rzucił to wszystko – całe brzemie stuleci – na stół marmurowy i rozjarzywszy świecznik, czytać począł szybko, pośpiesznie, nawet zwykłego znaku przed otwarciem księgi na czole nie kreśląc.

Mijały długie godziny, których każdą dwunastkę oznajmiała kula, spadająca z zegaru³³ w misę miedzianą; starzec, znużony, zasypiał chwilami w wysokim karle i budził się znów, i znowu czytał księgi, tak dobrze mu znane, a w przerażająco nowej postaci stające dzisiaj przed jego oczyma. Dawniej widział w nich prawdę, a dzisiaj znalazł tylko tęsknotę, która zrazu – na kartach kapłanki Ady i u rzadkich pierwszych proroków – nieokreślona i mgława, jakimś wyśnionym (amoże nawet rzeczywistym?) widmem Starego Człowieka wywołana, rosła i krystalizowała się w miarę postępu czasów i nieszczęść na lud spadających. Naprzód była tam tylko mowa o Starym

³² rzezany – tu: rzeźbiony. [przypis edytorski]

³³ zegaru – dziś popr. forma D.: zegara. [przypis edytorski]

Człowieku, który lud na Księżyc z Ziemi przywiódł i odszedłszy na Ziemię, ma z niej kiedyś znowu powrócić, a później dopiero jawić się poczęła obietnica wybawiciela, który, będąc w istocie swej Starym Człowiekiem, będzie zarazem odmłodzoną jego postacią i przyjdzie jako Zwycięzca, aby luduciśniony wyzwolić. I spostrzegł Malahuda, iż Ada pierwszy raz powrót Starego Człowieka zapowiedziała, kiedy jej doniesiono w *Kraju Biegunowym* o najściu na osady przy *Ciepłych Stawach* szernów zza morza, o których istnieniu na Księżycu przedtem ludzie podobno nawet nie wiedzieli – i że później w ciągu wieków każde nieszczęście i każda klęska miały swego proroka, który tym rychlejsze przyjście Zwycięzcy obiecywał, im cięższa na lud dola spadała.

Gorzki, ironiczny uśmiech osiadł na jego wargach. Z coraz większą zapamiętałością, gorączkowo przerzucał pisma szanowne i czczone, grzebał w nich drżącymi rękoma i okiem rozplonionym³⁴ – i wynajdował sprzeczności i błędy, i tak, nie wiedząc prawie, co czyni (a czynił rzecz nieodwołalną), walił gmach wiary życia swego całego.

Na ostatnią kartę ostatniej księgi ciężko opadły mu dłonie. Wiedział już na pewno, że żaden Zwycięzca nigdy przez nikogo naprawdę nie był przyobiecany i że wszystkie prorocтва były jeno wyrazem tęsknoty ludu, uciemiężonego przez potwornych i złośliwych księżycowych pierwobyłców...

– A jednak – przyszedł!

³⁴ *rozploniony* – dziś: rozplomieniony. [przypis edytorski]

Była to dla niego zagadka nie do rozwiązania, paradoks jakiś ironiczny a straszny! A przy tym jeszcze i druga rzecz: jakieś błędne koło uczucia, z głębi najtajniejszych wnętrzości jego się wyłaniające. Oto przed chwilą zburzył był w duszy całą wiarę swoją, a teraz czuje, że wszystko w nim się oburza na myśl, że ten przybysz dziwny, przez proroków w istocie nieprzepowiedziany, przez proste ukazanie się swoje wywróci całą religię oczekiwania, na owych prorocत्वach opartą!

I znowu przyszło mu na myśl, że on może nigdy naprawdę nie wierzył, że słowa, które mówił do siebie i do ludu, inne miały znaczenie niż to, które on sam pozornie do nich przywiązywał, że wszystko to był sen jakiś, który teraz przez dziwny i przekorny wypadek stał się rzeczywistością, zgoła niewołaną...

A czuł jednocześnie, że żal mu jest wiary.

Starał się ująć to wszystko w jakąś formułę, usiłował zrozumieć sam, o co mu chodzi właściwie, ale myśli rozpiezchały się za każdym razem, pozostawiając jeno bolesną pustkę w jego głowie i sercu.

I właśnie kiedy tak dumał, weszła była jasna Ihezał – i oto stoi przed nim z tym strasznym pytaniem na ustach i w oczach płonących:

– Dziadku! ty nie wierzysz, że to... On?

Postąpił kilka kroków ku dziewczynie i ujął ją miękko oburącz za głowę.

– Wyjdźmy stąd, Ihezał...

Przed chwilą jeszcze, gdy dłoń ku niej wyciągał, oporna teraz

oszołomiona snadź tym, co w oczach starca spostrzegła, dała mu się prowadzić spokojnie i bez słowa. Ujął ją więc wpół i wiódł w górę po schodach, pozostawiając za sobą w nieładzie rozrzucone księgi święte i czcigodne, których był strażnikiem... Złoty znak Przyjścia błyszczał za nimi w dogasającym blasku świecznika.

Gdy weszli z powrotem do świątyni, wlewał się już przez okna szary blask dnia przychodzącego, który na kilkadziesiąt godzin przed wschodem słońca na Księżycu jego zjawienie się już zapowiada.

Malahuda, wnuczkę wciąż wpół trzymając, podszedł z nią ku ogromnemu oknu, na wschód zwróconemu. Przez opary, z *Ciepłych Stawów* wstające, widać było w nikłej szarej poświacie zamarzłe morze i śniegiem pokryte góry na wybrzeżu. Cisza była ogromna po wszystkich ludzkich osadach, jeno z trójszczytowego zamku szerna Awija, snu nieznającego, bił blask pochodni czerwony i krzyki jakieś a nawoływania. Dookoła, w śniegiem przysypanych namiotach, czuwali według rozkazu zbrojni arcykapłana.

Milczeli długo oboje, we wstający świt nowego dnia zapatrzeni, aż nareszcie biała Ihezal, odstąpiwszy kilka kroków, rzuciła futro na posadzkę świątyni i stając nago, jako prawo przysięgającym każe, obróciła dłonie ku wschodowi, a potem ku północy, w stronę, kędy jest Ziemia, i rzekła:

– Jeślibym kiedy zaprzestała wierzyć w Niego, jeślibym Mu nie oddała wszystkich sił moich, mojej młodości i życia mego całego i tętna wszystkiej krwi mojej, jeślibym oprócz Niego

pomyślała o jakimkolwiek innym człowieku: niech zginę marnie i przepadnę, albo niech matką morca się stanę! Słyszy Ten, który jest!

Malahuda zadrżał i mimo woli pokrył oczy dłonią, słysząc to straszliwe zaklęcie, ale nie wyrzekł ani słowa.

Świt coraz srebniejszy³⁵ robił się na świecie, rzucając perłowe blaski na nagą dziewczynę, falą złotych włosów jeno okrytą.

³⁵ *srebniejszy* – dziś: bardziej srebrny. [przypis edytorski]

II

Elem stał na szczycie wzgórza, oddzielającego *Kraj Biegunowy*, w którym słońce nigdy nie wschodzi ani nie zachodzi, od wielkiej bezpowietrznej pustyni, blaskiem świętej gwiazdy, Ziemi, oświetlonej. Różowe, po horyzoncie ślizgające się słońce płonęło mu na gładko wygolonej czaszce i drżało metalicznymi połyskami po długiej, kruczej, kędzierzawej brodzie. Ziemia stała w pierwszej kwadrze; tam daleko, nad *Wielkim Morzem*, w krainie przez ludzi zamieszkałej, był właśnie poranek. Zakonnik, tyłem od srebrnego sierpa Ziemi odwrócony, patrzył w dół, w mroczną zieloną kotlinę. Większa część Braci rozeszła się już była za jego rozkazem na cały świat księżycowy, roznosząc po ludzkich osadach radosną nowinę o przybyciu Zwycięzcy – nieliczna garść tych, którzy pozostali, krzątała się około przygotowań do podróży. Elem widział z góry, jak w długich, ciemnych habitach, z golonymi czaszkami – snuli się skrzętnie dokoła namiotów (jako „wyczekujący” bowiem w namiotach, nie w domach mieszkali), wynosząc sprzęty i zapasy na drogę potrzebne lub przygotowując wózki i psy do zaprzęgu. Zwycięzca snadź spał jeszcze w swoim lśniącym wozie, do wydłużonej kuli podobnym, w którym przebył międzygwiazdne przestrzenie, bo cisza tam była i nikt się w pobliżu nie ruszał.

Za godzin kilkanaście miano już na zawsze opuścić *Kraj Biegunowy*, dachy te, niezliczonym pokoleniom

mnichów służące, tę łąkę chłodną i zieloną – i różowym słońcem ozłoczone wzgórza, skąd na widnokręgu nad pustynią Ziemię widać jasną. Elem myślał o tym bez żalu; owszem, duma radosna pierś mu rozpierała, że za jego życia i przełożenstwa dokonały się czasy i przyszedł ten od wieków zapowiadany i oczekiwany. Odtąd poczyniała się nowa era. On widział ją już w myśli, jasną, tryumfalną – widział pokonanych i upokorzonych szernów nienawistnych, którzy jako pierwobylcy śmia sobie rościć jedyne do Księżyca prawo, mimo że on przez Starego Człowieka ludziom był oddany – myślał z rozkoszą o wytepieniu do nogi, do imienia przeklętych morców, a ponadto myślał o wielkim tryumfie i władztwie Braci niegdyś Wyczekujących, a dzisiaj Weselnych, którzy pierwsi według obietnicy przychodzącego Zwycięzcę ujrzeli i przyjęli, i z nim teraz razem, jak orszak wierny i nieodstępny, pójdą zaprowadzać nowe królestwo na księżycowe kraje...

Pilno mu było wyruszyć już na południe, w one ludzkie dziedziny, których nie widział – w pustynię i daleką Ziemię wpatrzony – od kiedy chłopięciem wstąpił do Zakonu, ale które go znały panem co najmniej równym arcykapłanowi na stolicy przy *Ciepłych Stawach*, a nawet wyższym od niego, bo władającym³⁶ z dala duchami i od zdobywczej mocy szernów niezawisłym.

Ale tymczasem, nim wywieść miał nareszcie z wieczystych siedzib żywych Braci Zakonu, co z nim razem Przyjścia się

³⁶ *władzący* – dziś: *władający*. [przypis edytorski]

doczekali, należało zrobić porządek ze zmarłymi.

Obejrzał się. Na szczycie wzgórza, kędy stał, i dalej, na innych ku *Pustyni* opadających grzbietach, głazami podparci siedzieli wszyscy Bracia Wyczekujący, którzy zmarli, nim nadszedł Zwycięzca – i trupimi, zaschłymi twarzami patrzyli bezmyślnie w stronę srebrnej Ziemi na czarnym widnokręgu.

Tak przed wiekami – z twarzą ku Ziemi – ułożyć się tutaj kazała pierwsza kapłanka i święta Bractwa założycielka, Ada, która po odejściu Starego Człowieka dokonała życia w *Kraju Biegunowym*, patrząc na *Gwiazdę Wielką* ponad *Pustyniami* – i tak za jej przykładem umieszczano wszystkich Braci, którzy pomarli.

Kto raz wstąpił do Zakonu, wyrzekał się wszystkiego i nie opuszczał już *Biegunowej Krainy* za życia ani po śmierci. Bracia tracili rodzinę, nie znali majątności, trunku ani jadła gotowanego, czyści mieli być, wstrzemięźliwi i prawdomówni a zwierzchnikowi swemu posłuszni, a obowiązkiem ich najpierwszym było: czekać w pogotowiu... Czas, niemający w tej dziwnej krainie dnia ani nocy, spędzali na pracy ręcznej i modłach, które odprawiano na górze, z twarzą ku Ziemi zwróconą. A kto umarł, zwalniał się od pracy, lecz w modłach żywym towarzyszył. Nie palono go bowiem ani w grobie chowano, lecz wynióśszy na wzgórze, opierano plecami o głaz, aby patrzył na Ziemię i czekał Przyjścia razem z żywymi.

Byli tacy, którzy, czując zbliżającą się śmierć, wyprowadzać się tam towarzyszom kazali, aby w obliczu Ziemi życia dokonać.

W chłodnym i rozrzedzonym powietrzu trupy się nie psuły. I z biegiem lat ten Zakon umarły liczniejszy się stał od żywego Zakonu. Słońce krążyło około wyschłych trupów, a one trwały tak – niezmiennie, spokojne i „wyczekujące”. Kiedy Ziemia była na nowiu i słońce płomienne stało ponad nią, rozjarzały się czerwonym blaskiem poczerńiałe twarze i gorzały tak, dopóki blask słoneczny z nich nie zszedł, ustępując miejsca wzmagającemu się wciąż, trupio sinemu światłu Ziemi. O godzinie pełni Bracia Wyczekujący przychodzili modlić się na górę, a kiedy posiadali na głazach wśród trupów, mając słońce za plecami, trudno było zaprawdę rozróżnić, którzy są żywi, a którzy umarli.

Tak właśnie siedzieli byli dnia poprzedniego, zmarli z żywymi pospołu, kiedy owa wielka rzecz się stała. A gdy Elem zawołał: „On przybył!” – zdziwił się, że wstali tylko żywi, aby witać z nim Zwycięzcę, że nie powstały zarazem te trupy i nie zawiodły hymnu radosnego, tak jak oni, że czasy się już wypełniły i koniec nędzy na Księżycu...

I teraz patrzył prawie z oburzeniem na tę rzeszę nieżywą, że trwa jeszcze wciąż w bezmyślnym i bezcelowym już oczekiwaniu, twarzami martwymi ku Ziemi zwrócona, chociaż ten, wyglądzany i wyczekiwany, jest już pomiędzy nimi. Zdawało mu się ciągle, że ruszyć się winny te wszystkie trupy, stare, zeschłe i w proch się już rozsypujące – i inne, niedawne, z pozoru jakoby jeszcze żywe – powstać i iść tłumnie tam w dolinę i witać tego, którego za życia i po śmierci oczekiwały.

Ale wśród trupów cisza była niezmierna i wieczne, uroczyste milczenie. Elem szedł z wolna. Minał kilku niedawno na spoczynek ułożonych Braci, wstępując ku szczytowi wzgórza, kędy był grób kapłanki Ady. Widny był z dala głaz olbrzymi i wiecznie słońcem oświetlony, już na łysym czole wzgórza, a pod nim, od strony ku Ziemi dokładnie zwróconej, na tronie z czarnych kamieni siedział drobny, zeschnięty trup świętej prorokini, która twarzą w twarz Starego Człowieka oglądała: garstka kości, szerniała powleczonej skórą, wszytwnych szatach kapłańskich, gęsto złotymi naszytymi ozdobami. Dookoła u stóp jej były groby przełożonych Zakonu i mężów świętym życiem celujących, którym w nagrodę cnoty to czestne³⁷ ku wyczekiwaniu miejsce przeznaczono.

Elem oparł się dłonią o podnóże grobowego tronu i patrzył ku Ziemi... Stała w kwadrze, jasna i daleka jak zawsze, z wyraźnymi na srebrnej tarczy zarysami mórz i lądów, z dawnej i głuchej już wieści tylko księżycowemu ludowi znanych.

Strach go jakiś przejął.

– Matko Ado – szepnął wznosząc dłoń, aby dotknąć zeschniętych stóp – matko Ado, święta Założycielko! Oto, jakoś przyrzekła, powrócił Stary Człowiek młodzińcem do ludu swojego i jest pomiędzy nami! Matko Ado, pójdz go powitać...

Ostrożnie objął ciało i chciał je ruszyć z wiekowego siedzenia, gdy naraz posłyszał głos za sobą:

– Nie tykaj!

³⁷ *czestny* – dziś: poczesny; uczczony, obdarzony czcią. [przypis edytorski]

Odwrócił się. Wśród trupów siedział bez ruchu Choma, najstarszy z Braci Zakonu i wiekiem już zdziecinniały. Patrząc gniewnie na przełożonego i powtarzał wciąż, trzęsąc siwą brodą:

– Nie tykaj! nie tykaj! nie wolno!...

– Co tu robisz? – zapytał Elem.

– Wyczekuję, jako Zakon każe. Jest godzina wyczekiwania.

To mówiąc, wyciągnął drżącą, suchą dłoń, wskazując Ziemię, dokładnie w pierwszej kwadrze stojącą.

– Czas wyczekiwania już się skończył – rzekł Elem. – Idź na dolinę; tam jest Zwycięzca.

Choma potrząsł starą głową:

– Prorok Samielo powiedział: „Powstaną ci, którzy umarli, aby witać tęsknotę żywych oczu swoich!”. Umarli jeszcze czekają i ja czekam razem z nimi. Zwycięzca nie przybył!

Elema nagły gniew zebrał:

– Głupiś jest ty i trupy są głupie! Jak śmiesz wątpić, gdy ja ci mówię, że Zwycięzca jest pomiędzy nami?! Trupy nie wstają tylko dlatego, że są martwe – i to ich winą! Ale je wszystkie pod stopy Zwycięzcy zwlecemy!

To mówiąc, pewnym krokiem wstąpił na piedestał i owinąwszy płaszczem ciało Ady, wziął je na ręce i począł schodzić ku dołowi z tym brzemieniem. Choma jęknął głucho i zakrył oczy, aby nie patrzeć na to świętokradztwo przełożonego.

On tymczasem szedł ku dolinie, stanowczy i już spokojny, z ciałem pierwszej kapłanki w ramionach, a spotkawszy w drodze kilku Braci, którzy wyszli go szukać, rozkazał im zebrać inne

zwłoki i ułożyć z nich wielki stos na równinie...

– Czas ich wyczekiwania także się skończył – rzekł – niechaj odpoczną...

Ten, którego nazywano Zwycięzcą, powstał był tymczasem i wyszedł ze swego lśniącego wozu stalowego.

Elem, spostrzegłszy go z dala, złożył szybko ciało Ady na mchu i pobiegł z powitaniem.

– Panie, panie! – mówił, zginając się – bądź pozdrowiony...

Wszystka swada i pewność siebie odbiegła go na widok tego olbrzymiego przybysza, dwakroć wzrostem księżycowych ludzi przewyższającego (jest podanie, że taki wzrost mieli pierwsi prarodzice, których Stary Człowiek z Ziemi przywiódł z sobą), zwłaszcza że trudno mu było porozumieć się z nim, gdyż mówił językiem dziwnym, podobnym do zachowanego w najstarszych jeno księgach świętych, którego ludzie niepiśmienni od dawna już na Księżycu nie rozumieli.

Przybysz uśmiechnął się, widząc zakłopotanie mnicha.

– Nazywają mnie na Ziemi Markiem – rzekł.

Elem pochylił znów głowę.

– Wolno ci, panie, na Ziemi nosić imię, jakie zechcesz; tutaj u nas masz od wieków tylko jedno: Zwycięzca!

– Zwyciężyłem rzeczywiście więcej, niż możesz przypuszczać – rzekł Marek – przybywając tutaj z Ziemi. Tamci mieli towarzyszków, ja jestem sam – dodał jakby do siebie, patrząc w stronę dalekiej Ziemi na niebie.

Potem zwrócił się znów do Elema:

- I nie dziwno wam, że przybyłem?
- Wiedzieliśmy, że przybędziesz.
- Skąd?

Elem spojrział na niego zdumionymi oczyma:

- Jak to? czyż nie dałeś przyrzeczenia Adzie, kiedy jako...

Stary Człowiek stąd odchodziłeś? A później wszyscy nasi prorocy...

Urwał z przestrachem, gdyż „Zwycięzca” wybuchnął tak szalonym i nieposkromionym śmiechem, jakiego od wieków nie słyszano w cichej *Biegunowej Krainie*. Śmiały mu się usta i oczy, i cała młoda twarz się śmiała – przysiadł aż na ziemi i począł jak dziecko rozbawione bić się dłońmi po udach.

– Więc wy, więc wy... – mówił, dusząc się od śmiechu – wy myślicie, że ten wasz „Stary Człowiek”, sprzed sześciu- czy siedmiuset lat – to ja? Ależ to nadzwyczajne! Tutaj, jak widzę, cała legenda urosła! I ja mam być teraz jak chiński bożek... O! drodzy, ziemscy towarzysze moi! gdybyście wy wiedzieli, jakie mi te kochane karły przyjęcie zgotowały! Pójdźże, mój papieżu, niech cię uściskam!

Mówiąc to, pochwycił oniemiałego Elema i uniósłszy z ziemi jak piórko, począł z nim tańczyć po równinie.

– O, ukochany, zacny potomku podobnych do mnie szaleńców! – wołał – jakże ja się cieszę, żeście wy tutaj na mnie czekali! Będziemy sobie tutaj żyli wesoło, ty pokażesz mi wszystko, co widzieć pragnę, a potem – potem muszę cię zabrać z sobą, gdy będę powracał na Ziemię!

Postawił zakonnika obok i mówił dalej:

– Wiesz! bo ja mogę wrócić każdej chwili, gdy zechcę! Nie tak, jak tamci szaleńcy sprzed siedmiu setek lat, dzięki którym wy się po Księżycu roicie.

Chwycił go za rękę jak dziecko i pociągnął ku wozowi.

– Patrz, przede wszystkim spadłem tutaj, nie gdzieś na bezpowietrznej pustyni, którą tamci musieli z trudem przebywać. Strzał był dobrze wymierzony? co? w sam środek kotliny biegunowej, między wasze domki, którzyście mnie mimo mej wiedzy tu oczekiwali... A potem – widzisz, że pocisk stoi w zewnętrzną płaszc swój stalowy wgłębiony jakby w armatę! Tak, tak, czcigodny szamanie! przyjechałem we własnej kolubrynie, która się sama nabiła zagęszczonym powietrzem, spadając. A widzisz, jak stoi, wymierzona? Pod tym samym kątem, jak spadła... Tam pod spodem jest rodzaj nóg, które w grunt się zagłębiły – prześliczna laweta! Dość mi wejść, zamknąć się i guzik tam nacisnąć i – wracam na Ziemię. Tą samą drogą – rozumiesz? matematycznie tą samą drogą, którą przybyłem – wracam na Ziemię!

Mówił szybko i wesoło, nie zważając, że mnich nawet treści słów jego nie rozumie. W chaosie tym zdołał on złapać tylko jedno zdanie: „wracam na Ziemię!”. I nagły, potworny przestрах chwycił go dławiącą garścią za krtąń.

– Panie, panie! – zdołał jeno wykrztusić, czepiając się kurczowo wzniesionymi dłońmi jego rękawa.

Marek spojrzał na niego – i żart zamarł mu na ustach. Mnich

wyglądał wprost strasznie. Trzęsły mu się drobne, dziecinne ręce, a w oczach wzniesionych była jakaś okropna prośba i rozpacz, i lęk...

– Czego?... czego ty?... – szepnął mimo woli, o krok się cofając.

Elem wybuchnął:

– Panie! ty nie wracaj na Ziemię! My na ciebie czekali! panie, czy ty rozumiesz, co to znaczy: my czekali na ciebie przez długich siedem setek lat! Przybyłeś oto i mówisz rzeczy dziwne, których ani ja nie pojmuję, ani nie pojmie nikt na Księżycu! My wiemy tylko jedno: gdyby nie wiara w ciebie, gdyby nie ufność, że przyjdiesz naprawdę, życie by tutaj było niemożliwe – w nędzy, w uciśnieniu, w takiej poniewierce! A ty mówisz teraz, że odjedziesz, i chcesz mi pokazywać...

Odwrócił się i nagłym ruchem wyciągnął dłoń ku cichym, drobnym zwłokom Ady, zniesionym na mniszym płaszczu z góry, skąd Słońce widać i Ziemię.

– Patrz! Oto jest Ada, kapłanka twoja, która cię znała, gdyś był tutaj Starym Człowiekiem, i której pierwszej obiecałeś powrócić! Czekala na ciebie do końca dni swoich, a kiedy zmarła, czekała jeszcze, ślepymi oczyma zwrócona ku Ziemi, tak jako my czekaliśmy codziennie, tak jako tamci z nią i z nami czekali!

To mówiąc, pokazywał ręką wzgórze, kędy snuli się – z dała w różowym słońcu widoczni Bracia Wyczekujący, ruszając z odwiecznych miejsc trupy, aby je na dół pod nogi Zwycięzcy

poznosić.

– Tamci już ciebie nie potrzebują! Przyszedłeś – i skończyło się już ich nużące pośmiertne czuwanie! Spłoną na wieczny spoczynek tu w tej kotlinie, kędy nigdy jeszcze ogień nie płonął, bo my bez ognia, jakoby na godzinę z domu wyszedłszy, w tych namiotach przez siedem wieków ciebie czekali! Ale my cię potrzebujemy, potrzebują cię ci wszyscy, po księżycowym globie rozsiani, nad morzem dalekim, na równikach, na górach i nad strumieniami!... A ty, przybywszy, igrasz ze mną, a potem – chcesz wracać!

Mówił to wszystko gorąco, niemal uroczyście, bez cieniaprzestrachu, który pierwsze zdania w gardle mu dławił. Przyostatnich słowach głos jego zadrgał, jakby gorzką jakąś, bolesną ironią.

Marek się już nie śmiał. Patrzył na mnicha szeroko rozwartymi oczyma, jak gdyby teraz dopiero zrozumiał, że szalone przybycie jego na Księżyc związało się przez przypadek z czymś wielkim, że wziął – nie wiedząc o tym – jakieś brzemie na ramiona... Przed chwilą śmiał się z legendy, w którą wplótł się mimo woli – teraz strach go ogarnął. Przetarł dłonią czoło i spojrzał po mnichach, którzy właśnie z gór stare zwłoki znosili i w milczeniu je na mchu układali, wszystkie twarzą ku niemu zwrócone.

– Czego wy chcecie ode mnie? – rzekł mimo woli.

– Zbaw nas, panie! – zakrzyknął Elem.

– Zbaw nas, zbaw nas, panie! – powtórzyli chórem, jak echo,

Bracia Wyczekujący.

– Ale co wam się dzieje? mówcież nareszcie...

Urwał i odetchnął głęboko.

– Co wam jest?

Elem obejrzał się na skupiających się za nim Braci, a potem wystąpił naprzód.

– Panie – zaczął – gnębi nas zło. Szerny nas gnębią. Kiedyś stąd jako Stary Człowiek odchodził...

Marek przerwał mu niecierpliwie ruchem ręki. Przysiadł na ziemi i przyzywał mnicha skinieniem do siebie.

– Przepraszam cię, bracie – rzekł, kładąc dłoń na drobnym jego ramieniu – przepraszam za moje zachowanie, ale... Słuchajże mnie teraz dobrze i staraj się zrozumieć to, co mówię. Zrobię dla was wszystko, co tylko w mocy mej leży, chociaż... ja nie jestem – rozumiesz mnie? – ja nie jestem tym waszym Starym Człowiekiem. Tamten umarł przed siedmiuset laty, tu na Księżycu, na bezpowietrznej pustyni, a wiem o nim i o was tylko dlatego, że przed śmiercią przysłał nam w kuli na Ziemię swój pamiątnik... Ja całkiem przypadkowo na Księżyc przybyłem, nie wiedząc, że wy mnie tu czekacie...

Elem uśmiechnął się nieznacznie. Wszak – jako Ada w pismach swych świadczy – to było zawsze zwyczajem Starego Człowieka, że nie chciał, aby wiedziano, iż on jest... Starym Człowiekiem. To samo teraz powtarza się u Zwycięzcy. Jednakże skłonił głowę w milczeniu, jakoby zgadzając się na to, co słyszy.

Marek tymczasem mówił dalej:

– Ale przybyłem. I koniec końców, widząc, że mnie potrzebujecie, gotów jestem... Nie wiem, czy zrobić potrafię, czego wy się po mnie spodziewacie. Kto są ci szernowie? To pierwobyłcy tutejsi, nieprawdaż?

– Tak. Straszni. Od kiedy ty od nas... od kiedy odszedł od nas Stary Człowiek, całe dzieje nasze to jedna i nieustanna walka z ich złą przemocą. Tam, przy Ciepłych Stawach, gdzie pierwsza była osada, są księgi w podziemnym skarbcu złożone... My tutaj ksiąg nie potrzebujemy; z ust do ust wieść o tobie się przekazywała – ale tam są księgi. Niektóre z nich zapowiadają twoje przyjście. A inne zaczynają się zawsze od słów: „Ażeby Stary Człowiek wiedział i znał niedolę ludu swego, kiedy powróci Zwycięzcą...”. I rzeczywiście mało jest kart w nich, które by mówiły o czym innym, jak o niedoli ludutwojego, panie. Tam jest spisana nasza historia. Kiedy przybędziesz nad *Ciepłe Stawy*, o panie! i przeczytasz te księgi, dowiesz się, że szernowie trapią nas już od siedmiu setek lat. Zaraz po odejściu... Starego Człowieka przeprawili się przez *Wielkie Morze* i zaczęli niszczyć nasze siedziby. Były czasy, kiedy nikt nie mógł oddychać. Palili domy nasze, młódź naszą mordowali i uprowadzali nasze kobiety. A dzisiaj, dzisiaj, kiedy ty powróciłeś, o panie! jest gorzej, niż było kiedykolwiek! Wszystkie ludzkie osady, na północ od *Morza Wielkiego* aż po krańce *Pustyni* rozsiane, są pod władzą szernów! Przy *Ciepłych Stawach*, tam, gdzie jest arcykapłańska stolica, mają swego namiestnika, który z

wieży warownej włada i haracz pobiera. Uczyniono pokój z szernami, panie, ale lepsza śmierć od takiego pokoju. Tu – w *Kraju Biegunowym*, kędy my, ciebie wyczekujący, mieszkali, to miejsce jedyne, dokąd wraża moc ich nie sięga! Boją się widoku błogosławionej Ziemi, którą gwiazdą złą i przekłętą nazywają, jak gdyby w zwierzęcej ciemności swej przeczuwali, że stamtąd ty przyjdiesz, zbawca nasz, a ich pogromca i pognębiiciel. Ratuj nas, panie!

– Ratuj nas, ratuj! – zakrzyknęli znowu mnisi i zaczęli się cisnąć do Zwycięzcy i obejmować rękoma jego nogi. Oni, którzy się rodzin i mienia dla oczekiwania jego wyrzekli, przypomnieli sobie teraz, że mają tam w ujarzmionym kraju krewnych i znajomych, i zaczęli, przerywając sobie wzajemnie, opowiadać bezładnie krzywdy, które się tamtym stały od szernów, morderstwa, pożogi i uciśnienia.

W tym gwarze jękliwych i nienawiścią zawziętych głosów jedno tylko zdanie wyraźnie wciąż się powtarzało:

– Ratuj nas! ratuj!

Marek siedział na ziemi z zaciśniętymi ustami i ściągniętą brwią. Ważył coś w myśli długo, choć głosy błagalne już umilkły i cisza pełna oczekiwania zrobiła się dokoła niego... Była chwila, że spojrzał mimo woli na wóz swój błyszczący i każdej chwili gotowy do odjazdu, jak gdyby chciał sięść weń i uciekać w międzyplanetarne przestrzenie tam ku Ziemi – ale myśl tę szybko odrzucił od siebie. Postanowienie jakieś twarde ścięło rysy jego młodej twarzy.

– Jacy są ci szernowie? czy podobni do ludzi? – zapytał.

– Nie, nie! Oni są straszni!

– Straszni, straszni! – zawołali mnisi.

Marek zwrócił pytające oczy na Elema. Na twarzy zakonnika malował się wstręt, z bólem wprost graniczący. Pochylił głowę, a po chwili wykrztusił:

– Straszni są. Sam ich, panie, zobaczysz.

– Chcę wiedzieć teraz. Czy mają co ludzkiego w sobie?

– Nic. Okrom rozumu. A i ten jest inny, bo zła i dobra nie rozróżnia.

– Jak wyglądają?

– Mniejsi są od nas. Tak, jeszcze mniejsi. Mają skrzydła, ale tylko z trudem ich używają. Umieją wydawać głos i mowę ludzką potrafią zrozumieć, między sobą jednak porozumiewając się za pomocą świetlnych rozbłysnięć na czole... Ach! są straszni! i ohydni! ohydni! i źli...

Marek powstał. Dookoła niego byli teraz wszyscy Bracia zgromadzeni; nieopodal leżał ogromny stos ciał i kości, ze wzgórza słonecznego zniesionych. Ruszono też z miejsca namioty stare i podkładano pale i płótna, ażeby płomieniom dać lepszą strawę. Elem, spostrzegłszy, że Zwycięzca przygląda się stosowi, przerwał opowiadanie i pojrzał³⁸ mu w twarz pytającym wzrokiem.

– Czy mamy ich spalić? – rzekł po chwili.

Marek nie odpowiadał. Więc mnich przystąpił ku niemu

³⁸ *pojrzyć* – dziś: *spojrzeć*. [przypis edytorski]

bliżej i odezwał się znowu:

– Panie, czy mam stos podpalić? Czy wolno im już spocząć, a nam wracać do ludzi? Do domów naszych i do rodzin niegdyś opuszczonych?

Z wolna i jakby z wahaniem Marek pochylił głowę.

– Tak – wyrzekł nareszcie – przyjmuję swój los...

Kiedy w kilkanaście godzin później wyruszyli odwieczną drogą przez wąwozy, łączące *Kraj Biegunowy* z zamieszkanym światem Księżyca, płonął za nimi jeszcze w opustoszałej kotlinie olbrzymi stos z nieużytecznych już namiotów rozwiązanego Zakonu i ciał pomarłych jego członków zbudowany. Marek obejrzał się: słońce było czerwone od snujących się dymów, które przysłaniały szarosrebrny rąbek Ziemi, wyglądającej jeszcze znad horyzontu.

Nad strumieniem spotkano ludzi z bliższych osad, którzy na wieść o przybyciu Zwycięzcy śpieszyli już, aby go powitać. Marek przypatrywał się z ciekawością tym karlikom, wśród których było też kilka kobiet, drobnych i wcale ładnych. A oni padali wszyscy na twarz, dotykali z oznakami czci szat jego i witali go dziwnym językiem, w którym zaledwie z trudem mógł pochwycić uchem przekręcone do niepoznania słowa polskie, angielskie i portugalskie.

Przy pierwszym spotkaniu zbyt był zaciekawiony widokiem tych ludków, aby mógł zważać na to, jak go witają; później jednak, gdy coraz nowe gromadki przybywały, usiłował protestować przeciw bałwochwalczym oznakom czci, które mu

oddawano. Ale wkrótce przekonał się, że jest pod tym względem bezsilny. Strofowani – albo nie rozumieli, o comu chodzi, albo też uważali gniew jego za karę za jakąś przewinę i poczynali się usprawiedliwiać z jeszcze większymi objawami czołobitności. Kiedy zaś starał się ich łagodnie przekonać, że jest takim, jak oni, człowiekiem, chociaż z Ziemi przybyłym, uśmiechali się tylko chytrze, podobnie jak Elem, gdy mu mówił, że Stary Człowiek dawno umarł i on nie ma z nim nic wspólnego.

Zaprzestał tedy bronić się na próżno – odkładając usunięcie tego przedziwnego nieporozumienia na stosowniejszą porę – i szedł ku *Morzu Wielkiemu* w orszaku nieproszonychwyznawców swoich, jak młody i jasny bóg, dwakroć wierną rzeszę wzrostem przewyższający.

Mężczyźni zabiegali mu drogę drobnymi kroczkami i skarżyli mu się snadź³⁹ (nie rozumiał ich bowiem dobrze i często uciekał się do pomocy Elema, który, jako piśmienny, znał język „święty”, polski, którym niegdyś Stary Człowiek przemawiał) i każdy opowiadał o krzywdach swoich, waśniach i kłopotach, i każdy prosił go znowu, aby on go pomścił lub wynagrodził – naprzód, przed wszystkimi innymi, ponieważ on właśnie na to zasługuje. Powstawały stąd kłótnie, a nawetbójki, które nieraz Marka mimo woli do śmiechu pobudzały.

Kobiety były wstrzemięźliwsze. Szły na uboczu i patrzyły na niego tylko dużymi, zachwyconymi oczyma, a gdy się odezwał do której, uciekały bez odpowiedzi, jak sarny spłoszone. Raz

³⁹ *snađz* (daw.) – widocznie. [przypis edytorski]

wspomniat przy nich na wpół żartem o szernach... Spostrzegł, że bladły na sam dźwięk tego imienia i skupiały się w lękliwą gromadkę, poglądając⁴⁰ z niewymownym przestraczem ku mężom swoim i towarzyszom.

– Panie! czynisz, co sam zechcesz, ale lepiej przy kobietach nie mówić o szernach – zauważył Elem.

– Dlaczego?

Mnich pochylił głowę.

– Są rzeczy straszne...

Nim jednak zdążył dokończyć zdania, przerwał mu ruch, jaki się wszczął nagle w pielgrzymiej gromadce.

Kończył się już pierwszy dzień podróży i schodzili byli właśnie na równinę, śpiesząc na noc ku osadom u *Starych Źródeł*, kędy⁴¹ przed wiekami pierwszy raz na Księżycu naftę odkryto, kiedy pielgrzymi i mnisi, orszak Zwycięzcy stanowiący, poczęli się skupiać i krzyczeć, wskazując rękoma w kierunku pobliskich zarośli. Marek spojrzał w tamtą stronę i spostrzegł człowieka, nieco roślejszej od innych budowy, który, wyskoczywszy z gęstwiny, stanął na cyplu skalnym ponad drogą i zaczął miotać jakieś wyzwiska czy przekleństwa. Odpowiedziano mu gradem obelg. Niektórzy rzucali kamieniami, które go jednakże nie dosięgały – kobiety kryły się z płaczem za plecami mężczyzn, a mnisi spluwali na przemian i kreślili święty znak Przyjścia na czole, ustach i piersi.

⁴⁰ *poglądać* – dziś: spoglądać. [przypis edytorski]

⁴¹ *kędy* (daw.) – gdzie. [przypis edytorski]

– Morzec! Morzec! – rozlegało się dokoła.

Człowiek na skale zaśmiał się urągliwie i naciągnął łuk, który miał w ręku. Strzała świsnęła, godząc trafnie w szyję młodą, drobną kobietkę, co właśnie u nóg Markowych szukała schronienia.

Okrzykowi zgrozy odpowiedział znów wyzywający i tryumfalny śmiech napastnika. Z niepojętą szybkością napinał teraz łuk, szyjąc strzałami raz w raz w zaleknioną i zbitą gromadkę. Jedna ze strzał drasnęła Marka w czoło, znacząc na nim szeroką krwawą szramę. Odruchowo wyrwał broń z zanadru i gruchnął w stronę napastnika.

Strzał był dobrze wymierzony. Człowiek na skale wypuścił z dłoni cięciwę, zatrzepotał w powietrzu rękoma i bez krzyku runął głową na dół, padając tuż przy drodze. Kilku mężów poskoczyło ku niemu i zaczęli rozdzierać skózaną tunikę na jego piersi. Marek sądził, że szukają rany od nieznaney im broni palnej, lecz oni spostrzegłszy pod piersiami upadłego dwa czerwone znamiona, jakby sześciopalczastych dłoni, poczęli krzyczeć znów: „Morzec! Morzec!” – i bić w niego kamieniami, gdyż dyszał jeszcze i przewracał oczyma, tocząc z ust krwawą pianę.

Marek rzucił się ku nim, zgrozą przejęty.

– Stójcie, psy! – krzyknął – przecież ten człowiek żyw jeszcze, a bronić się już nie może!

Elem go zatrzymał:

– Panie, daj pokój. To nie jest człowiek. To morzec...

A widząc pytający wzrok Marka, dodał schylając głowę swoim zwyczajem:

– Opowiem ci później, panie. Daj pokój. Dobrze jest, że zginął.

Ciało nieznajomego tworzyło już tylko jedną krwawą masę, w którą wciąż biły kamienie. Marek odwrócił ze wstrętem głowę od tego widoku, a mnisi tymczasem, tańcząc około niego, śpiewać jęli jakiś hymn tryumfalny:

„Przyszedeł nam Zwycięzca!

Poraził szerna, poraził morca piorunem!

Dla ludzi jest Księżyc; śmierć wrogom naszym!

Chwała Zwycięzcy, gdziekolwiek stąpi noga jego
błogosławiona!...”

W milczeniu wysunął się Marek z koła płasających i poszedł naprzód. Z ostatniego zakrętu drogi, tuż w pobliżu osad ludzkich silnie już snadź odwiedzanej, widać było całą szeroką równinę, drobnymi pierścieniowymi wzgórzami usianą, na którą niegdyś – przed siedmiuset laty – z tego właśnie miejsca patrzył był po raz pierwszy Stary Człowiek, takim jak on teraz młodzieńcem.

Usiadł na przydrożnym kamieniu i zamyślił się głęboko... I dziwno mu było, że nie umie właściwie myśli swoich sformułować. Patrzył na równinę bezbrzeżną, ku zachodowi chylącym się słońcem już pozłoconą i czarnych okrągłych jezior pełną, i myślał o tym, że spędziwszy dotąd czas w *Biegunowym Kraju* wiecznego półświt, będzie teraz widział pierwszy zachód

słońca na Księżycu i że mu niewypowiedzianie smutno jest w ten czas zachodu... I myślał, że pusta wesołość jego zgubiła się gdzieś w przeciągu kilkuset godzin i że dąży z dziwnie ściśnionym sercem ku dalekiemu morzu, kędyrozstrzygną się jego losy, tak niepojęcie w rdzeń ludzkich spraw na Księżycu wplątane... I naszła go teraz tęsknota za Ziemią, którą – śmiały i żądny nowości szalaowała – zda się tak niedawno, śmiejąc się, opuszczał... Była chwila, że chciał wstać i uciekać, wracać do *Kraju Biegunowego* i sięść w lśniący wóz swój, który stoi tam gotów do powrotnej drogi – ale nagły bezwład go ogarnął, wsparł łokcie na kolanach i twarz w dłoniach ukrył...

– Obiecałem los swój przyjąć na siebie – wyszeptał.

Z długiej zadumy obudziło go lekkie dotknięcie. Wzniósł oczy. Przed nim klęczała niemłoda i wynędzniała kobieta i wznosiła ku niemu twarz pełną bezgranicznej, ślepej, martwej trwogi. Ręce i usta trzęsły jej się jak w febrze – spoza zaciętych zębów ledwo zdołał się przestrawem zdławiony głos wydobyć...

– Panie, panie – jęczała – ty wiesz wszystko, tak... patrzyłeś na mnie... wiem, że wiesz... ale – ja niewinna jestem, panie! Szerny przemocą mnie porwały...

I nagle w obłąkanym strachu krzyknęła, chwytając się za jego nogi:

– Panie! Zwycięzco! miej miłosierdzie ze mną! Nie wydaj mnie ty przed nimi, bo żywcem mnie w ziemi zakopią! Ja wiem, że słusznie prawo tak nakazuje, ale ja jestem niewinna!

Padła na twarz, wstrząsana rozpaczliwym łkaniem. Nie mogła

już mówić, mamrotała tylko i mełła między szczękającymi zębami słowa jakieś niezrozumiałe a błagalne.

Marek się zerwał. Potwornie straszna a nieprawdopodobna myśl uderzyła go obuchem w głowę. Chwycił płaczącą kobietę za ramiona i postawił przed sobą na ziemi. Zamilkła nagle i patrzyła na niego osłupiałymi oczyma, czekając snadź⁴² śmierci.

– Jak się nazywasz? – rzekł po chwili dziwnie nieswoim głosem.

– Nechem...

– I ten... morzec? ten, którego zabito?...

– Tak, panie, tak, to mój syn! Ale ja niewinna!

Usiłowała ustami dotknąć dłoni jego. Ale on szarpnął ją i krzyknął:

– Twój syn i... czyj?

Kobieta zaczęła znowu trząść się cała.

– Panie! ja winna nie jestem! Szerny przemocą mnie porwały! Nikt o tym nie wie krom ciebie... Myślano, że jestem z ofiarą u Braci Wyczekujących... Ja ukryłam... Panie! ja wiem, że powinnam była zadusić, jak tylko na świat przyszedł, ale nie mogłam, ty daruj, nie mogłam! Przecież to mój syn był!

Marek odruchowo w napadzie bezgranicznego obrzydzenia odtrącił ją od siebie i zakrył oczy rękoma. Było w tym tak coś potwornego i przerażającego, a przy tym wszystkim fizjologiczne prawa wywracającego do góry nogami, że ścisnął głowę dłońmi, czując, że obłęd ją chwyta...

⁴² snadź (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Oprzytomniał dopiero nieco, kiedy posłyszał za sobą nawoływania zdążającego wreszcie orszaku. Zwrócił się szybko do leżącej wciąż bez ruchu kobiety:

– Nechem, wstań. I bądź spokojna.

Chciała mu dziękować, on jednak ze wstrętem cofnął dłoń. Nie mógł się przemóc, aby spojrzeć na nią.

W milczeniu resztę dziennej drogi odbywał. Było już pod wieczór, kiedy znaleźli się na równinie wśród osad przy *Starych Źródłach*. Z niskich, kamiennych domków, przeważnie wzięmę wkopanych dla lepszej przed nocnymi mrozami ochrony, wyległa ludność naprzeciw przychodzącego Zwycięzcy i witała go hałaśliwie radosnymi okrzykami, ale on nie słyszał ich prawie. Szedł wśród weselnego tłumu z nachmurzoną twarzą, unikając szczególnie oczyma widoku kobiet, z których każda mogła być przecież równie skalana, jak ta, która się niedawno u nóg jego włóczyła. Lud patrzył na groźną minę jego i wróżył z niej sobie rychły a stanowczy pogrom wszystkich szernów. Niektórzy z dala oglądali z uciechą wzrost jegowyniosły i mięśnie potężne, tylko przez cześć bojaźliwą nie śmiejąc ich dotykać, i mówili głośno, jaką te silne ręce klęskę szernom zadadzą.

Przeznaczono mu najlepszy dom na nocne przezimowanie. Był ci wprawdzie w tej osadzie, jak po wszystkich innych na Księżycu, dom oddzielny i niezamieszany, z dawnego rozkazu Braci Wyczekujących utrzymywany a zowiący się „Domem Zwycięzcy”, kędy mógłby znaleźć schronienie, kiedy przybędzie – ale ponieważ z pokoleń w pokolenia Zwycięzca nie przybywał,

więc okazało się teraz, że zaniedbany dom na spichlerz gminny jest obrócony i tak zrujnowany, iż mieszkać w nim niepodobna. Zaradzono temu, usuwając z chaty sołtysa, który był zarazem miejscowym kapłanem.

Kiedy wieczorem Marek znalazł się sam, kazał natychmiast przyzwać Elema do siebie. Zakonnik wszedł, po raz pierwszy w szatę czerwoną na znak radości przybrany i ze srebrnym diademem na czole, tak jak był kazał w małej wiejskiej świątyni o przybyciu Zwycięzcy, którego właśnie wiedzie z sobą... Stał z szacunkiem przy drzwiach i czekał.

Marek – w małej, za niskiej na wzrost jego izdebce – leżał na pęku skór z nafcianym kagankiem przy głowie. Gdy Elem wszedł, uniósł się na łokciu i wpił w niego błyszczące oczy.

– Kto są morcy? – zapytał z nagłą.

Elem pobladł i coś jakby cień gorzkiego wstydu, z nienawiścią zmieszanego, przemknęło po jego suchej twarzy.

– Panie...

– Kto są morcy? – powtórzył Marek zapalczywie – czy to...? Nie dokończył, ale zakonnik go zrozumiał.

– Tak, panie – szepnął – tak... To dzieci szernów.

– Więc wasze kobiety... oddają się tym potworom?

– Nie, panie. Nie oddają im się.

– A więc? a więc?

Zerwał się nagle i usiadł na posłaniu.

– Słuchaj! a więc wy jesteście psy! Znam ja tę historię! I na Ziemi nigdyś mówiono o czarcim potomstwie! Słuchaj! was

należy wszystkich kamienować zamiast tych nieszczęśliwych!

Gniew mu prawie głos zatykał.

– Pójdź tu! i mów natychmiast, skąd powstała bajka o dzieciach szernów, w którą nawet kobiety same w obłąkaniu uwierzyły!

– Nie, panie, to nie bajka.

Marek spojrzał na niego szeroko rozwartymi oczyma.

– Panie, pozwól mi mówić... Szernowie dziwną moc posiadają. Popod skrzydłami, szerokimi skrzydłami z rozpiętej na kościach błony, mają coś w rodzaju gibkich węzowych rąk o sześciopalczastych dłoniach. Całe ciało ich jest pokryte czarnym, krótkim włosiem, miękkim, gęstym i lśniącym, z wyjątkiem czoła i tych dłoni właśnie, które są nagie i białe... I te dłonie...

Odetchnął głęboko i pot otarł z czoła. Znać było, że trudno mu mówić o tej strasznej rzeczy.

– W tych dłoniach jest ich moc – zaczął znowu po chwili.
– Jeżeli obie naraz dotkną nagiego ciała ludzkiego, wstrząsa człowiekiem bolesny a częstokroć i zabójczy dreszcz, podobny jak przy dotknięciu niektórych ryb morskich... A jeśli to jest kobieta...

– Ach! – krzyknął Marek.

– Jeśli to jest kobieta... albo suka, lub jakakolwiek samica, poczyrna i rodzi. Wydaje płód – wedle swego rodzaju – do siebie tylko na oko podobny, ale zły i przewrotny jak szerny...

– Czy jesteś pewien, że tak jest w istocie?

– Tak, panie...

W głowie Marka zakręcił się wir krzyczących myśli. Było to tak niepojęte... A jednak – przypomniały mu się badania niektórych ziemskich biologów, którzy, działając na niezapłodnione jajka mechanicznie albo za pomocą chemicznych odczynników, zmuszali je do podziału i płód z nich żywy otrzymywali... Widocznie w dłoniach tych księżycowych potworów była jakaś zdolność wydawania prądu elektrycznego czy innej emanacji, która wstrząsając cały organizm, odgrywała rolę plennika...

– Nie, nie, nie! To niemożliwe! – powtarzał głośno, przyciskając rękoma rozszalałe tętno w skroniach...

– A jednak, panie, jest tak. Sam dzisiaj morca zabiłeś.

– Skąd wiesz, że to był morzec?

– Tam, gdzie kobietę dotknęły przeklęte dłonie szerna, morzec piętna ma czerwonosine. Widziałeś sam... Zabijamy ich i tępimy jak dzikie zwierzęta, bo gorsi są od samych szernów nawet, gdyż złość ich przewrotną łączy z ludzkim wyglądem.

Zapanowało głucho milczenie.

Po długiej chwili dopiero Marek wzniósł głowę i zapytał bezdźwięcznie:

– Czy to... częste przypadki?

– Nie. Teraz nie. Kobietę, która była w obecności szerna, zakopujemy bez sądu żywcem po szyję do ziemi i tak ją zostawiamy, póki nie zamrze z głodu i pragnienia. Ale dawniej...

Cieężko mu było mówić. Znać, że jego ludzka duma, przez

dalekich przodków z Ziemi przyniesiona, cierpiała niewymownie wobec tych wyznań. Pochylił głowę przed płonącym wzrokiem Marka i dokończył cicho:

– Dawniej morców bywało dużo... Szczęściem, że oni są już niepłodni. Wytępiłiśmy ich. Wymordowaliśmy. Nie było litości ani z jednej, ani z drugiej strony... Teraz już rzadko... Chyba że szernowie porwą kobietę.

– A dawniej? Czy same kobiety?...

Elem zaprzeczył żywym ruchem głowy.

– Nie. Nigdy. To ból podobno straszliwy. Kurcz mięśnie wykręca i łamie kości... Ale...

– Co?

– Był czas, że – pokonani – musieliśmy jako haracz...

Marek się rzucił na posłaniu.

– Kobiety im swoje oddawać!?

– Tak. Dziesięć co rok. Oni morców potrzebują: nam nienawistni – im służą jak psy wierne... A szernowie sami nie lubią pracować...

Marek zakrył znów oczy. Dreszcz wstrząsał jego ciałem mimo ciepła, które z rozpalonego ogniska po izbie się rozchodziło.

– I te kobiety... na zawsze już u szernów zostawały? – spytał, nie patrząc na mnicha.

– Nie. Szernowie je zabijali albo odsyłali, gdy się już zestarzały...

– A wtedy wy?...

– Wtedy myśmy je zabijali. Były przecież matkami morców
– dodał po chwili tonem usprawiedliwienia.

W ciszy, która zapadła po ostatnich słowach zakonnika, słyszeć tylko było uderzenia wichru, który miotał padającym już śniegiem, pokrywając nim glob księżycowy na długą, mroczną, czternaście ziemskich dni trwającą noc.

Marek siedział długo w milczeniu, z zakrytą twarzą. Wreszcie odjął dłonie od oczu i ściągając brwi, rzekł do siebie głośno i twardo:

– Trzeba zwyciężyć!

Elem radosnym ruchem wzniosł ręce do góry, ale Marek go nie widział. Patrzył przed siebie gdzieś w mroczną dal, gdzieś w los swój niespodziewany.

III

Awij zbyt gardził tymi ziemskimi intruzami na Księżycu, zwącymi się ludźmi, aby posyłać posły i pytać: dlaczego mu o zachodzie słońca nie złożono zwykłej obowiązkowej daniny albo co ma oznaczać wrogi ruch, który spostrzegł z wieczora około trójszczytowego zamczyska swego nad morzem? Postanowił natomiast spalić całą osadę przy *Ciepłych Stawach*, a ludność wyrznąć do nogi. Nie wydawał jednak rozkazu, na który otaczający go morcy z utęsknieniem czekali. Wiedział, że załoga nie jest zbyt liczna i w razie oporu – a widział był gromadzących się zbrojnych – mogło przyjść do ciężkiej walki o wątpliwym wyniku, wołał więc zatrzymać się aż do czasu przybycia posiłków. Była to bowiem właśnie noc, kiedy szernowie przybywali z zamorskiego kraju odebrać co wieczór składany haracz i zmienić w zamku załogę.

Warowna wieżycza, gdzie mieszkał Awij, stała wśród otoczonego mocnym murem ogrodu, który się łączył z małą ubezpieczoną przystanią nad morzem. Szernowie, orszak Awija tworzący, a nade wszystko nieliczni jego morcy nie ośmielali się nigdy wyjść poza bramy tego muru, wiedząc, że mimo wszystkie paktły czekałaby ich tam śmierć niechybna zręki znenawidzonej i nienawidzącej ich człowieczej ludności – ale w obrębie warowni czuli się zupełnie bezpiecznymi. Ufali tęgości murów, a więcej jeszcze postrachowi swego okropnego imienia, który trzymał

od nich z dala każdą ludzką istotę. W razie zabicia szerna albo chociażby napaści tylko mścili się straszliwie, o morców mniej im chodziło i mało dbali, jeśli którego z nich, niebacznie w głąb kraju się zapuszczającego, śmierć spotkała, chociaż się bowiem nimi posiłkowali, w głębi serca gardzili nimi prawie tak samo jak ludźmi.

A przy tym z zamku w razie niebezpieczeństwa poważnego odwrót był zawsze otwarty – we dnie na łodziach, w nocy na żaglowych saniach przez zamarzłe morze. Tą też drogą przybywali każdej czwartej nocy potworni ziomkowie Awija po haracz. Właśnie wielkorządca czekał ich przybycia.

Jednak jeszcze więcej niż brak owych posiłków powstrzymywało go od wydania krwawego rozkazu wrodzone szernom lenistwo. Trzeba by postanowić i odezwać się do morców i wydać odpowiednie zarządzenia... Myślał o tym wszystkim i wyobrażał sobie z rozkoszą buchające wśród nocy płomienie i jęk zarzynanych ofiar, ale tymczasem nie chciało mu się ruszyć ani skinąć.

Leżał na szerokiej sofie, miękką czerwoną tkaniną na lśniącym włochatym ciele owinięty, nogi z zadzierzystymi pazurami podciągnął pod siebie – straszne, sześciopalczaste dłonie ukrył w fałdach obwisłej błony szerokich nietoperzych skrzydeł... Obok w miedzianych trójnogach płonęły zioła wyszukane, których ostra i odurzająca woń osobliwą rozkosz sprawiała szernowi. Zamglonym i sennym wzrokiem swoich czworga okrągłych krwawych oczu pojrzał ku drzwiom, gdzie na

czatach siedziało sześciu morców, skulonych od zimna, którego ich pan zdawał się wcale nie odczuwać.

Przyszło mu na myśl, że jest północ i poselstwo szernów powinno już było przybyć. Chciał coś powiedzieć, wydać rozkaz jakiś, ale nie chciało mu się. Morcy z trudnością tylko i niedokładnie rozumieli mowę barwnych błysków na jego białym, fosforyzującym czole, on zaś nie miał ochoty trudzić się wydawaniem głosu. Przeciągnął więc tylko ścierplę skrzydła, strzepnął nimi i ziewnął głośno, otwierając bezzębną gębę, otoczoną rogową naroślą w kształcie dzioba szerokiego, a krótkiego, z jedną haczystą w pośrodku zadziorą.

Morcy się zerwali, jak sfora psów dobrze ułożonych, a jeden z nich, chłop – jak na wzrost księżycowych ludzi ogromny, z krwawosinym sześciopalczystym piętnem na policzku, przyskoczył ku panu i przysiadł na posadzce, patrząc pytająco w jego krwawe ślepie.

– Czy poselstwo przybyło? – błysnął szern ku niemu.

Morzec – Nuzar go nazywano – spojrzał na niego z rozpaczliwym pomieszaniem i jęknął:

– Panie...

Awij zacharczał:

– Bydlę! z wami trzeba jak z psami albo ludźmi głosem rozmawiać. Czy przybyło poselstwo? – pytam.

– Nie jeszcze, panie, ale wkrótce przybędzie...

– Głupiś.

Odwrócił się na drugi bok i kazał dosypać ziół na trójnogi.

Morcy, bądź co bądź ludzkie płuca mający, dusili się od gęstego nieznosnego dymu. Żaden jednak nie śmiał się przyznać do tego: za hańbę uważałby sobie nie rozkoszować się tym, co szernowi, wyższej istocie, przyjemność sprawiało.

Awij przymknął tymczasem dwoje dolnych oczu, do bliskiego patrzenia służących, a górne – dalekowidzkie, w których wzroku zarysy bliższych przedmiotów w niewyraźną mgłę się roztapiały, wyteżył gdzieś w mrok przed siebie i marzył o zamierzonej rzezi, jak jej się będzie ze szczytu wieży swojej nadmorskiej przyglądał...

– Jak poselstwo z posiłkami przybędzie – charknął znowu po chwili – zapalicie osadę...

– Może by zaraz...?! – krzyknął Nuzar z roziskrzonymi oczyma.

– Milcz, psie, i słuchaj...

Zabijcie wszystkich. Wolno wam. Nie złożyli haraczu...

A zresztą tak mi się podoba.

Malahuda... Możecie go dać psom. Za stary jest dla mnie, twarde musi mieć mięso. I w pół dnia nie skruszałby...

Ale on ma córkę... Widziałem...

Mlasnął głośno, uderzając językiem o dziób rogowy.

– Ihezał jej na imię...! – wyrwał się jeden z morców, młody, zaledwie dorastający chłopak.

– Milcz, psie.

Może by po niej mądrzejsze morce były niż wy...

Jak tylko przyjdzie poselstwo...

Ale poselstwo nie przychodziło. Minęła cała długa noc i dopiero około świtania dwóch szernów postawionych na czatach, a osobiste towarzystwo Awija stanowiących – doniosło, że w szarym brzasku widać żagle zbliżających się sań na morzu...

W namiestnika wstąpiła nagła energia. Zerwał się i zatrzepotał ciężkimi skrzydłami, wydając zgrzytliwe dźwięki, które oznaczały to, co ludzie śmiechem nazywają.

– Za kilka godzin będzie tu morze płomieni!

Potem zasępił się na chwilę.

– Szkoda, że noc już minęła, trzeba było w nocy...

Nuzar, który stał przy oknie, zwrócił ku Awijowi dzięką, ohydny piętrem naznaczoną gębę:

– Czy iść im na pomoc?

Wyciągnął rękę przed siebie.

– Zamek cały jest otoczony. Widzę namioty przysypane śniegiem. Czuwali całą noc... Nawet na morzu, na lodzie straże porozstawiano.

Awij rzucił się ku oknu, wyteżając w słaby, ostry brzask budzącego się dnia parę swych dalekowidzkich oczu. Rzeczywiście dookoła zamku ciągnął się nieprzerwany podwójny pierścień śnieżnych kopczyków, pod którymi kryły się namioty zbrojnych. Tu i ówdzie wydostający się dym świadczył, że czuwano. Ku owym właśnie kopczykom zbliżały się od strony zamarzonego morza pędem wichru skrzydlate sanie szernów.

Namiestnik patrzył przez chwilę, aż nagle potworna twarz mu się rozjaśniła.

– Tchórze! Patrzcie: nie potrzeba pomocy!

Istotnie ze zbliżeniem się sań ludzkie straże same się rozstały, puszczając je wolno do wnętrza zwartego pierścienia. To jednak, co Awijowi wydało się być skutkiem trwogi, było mądrze obmyślanym planem Jereta, który ze swoimi ludźmi zajął był zaniedbany przez zbrojnych, a najważniejszy posterunek na lodach morza. Nie chciał on dać się wymknąć i tym przybywającym wrogom, a przy tym obawiał się, że w razie oporu i bitwy szernowie mogą za wcześniej dać znać swoim ziomkom i przedwcześnie pomoc sobie przeważającą sprowadzić. Za saniami jednakże koło zamknęło się natychmiast z powrotem.

Tymczasem świt się zbliżał – i nim spóźnieni szernowie odpoczęli po trudach nocnej podróży, zaszły w osadzie przy *Ciepłych Stawach*, stolicy księżycowego kraju – wielkie wypadki. Prawie wschodzące słońce, ześlizgując się po ośnieżonych zboczach krateru *Otamora*, zaglądało na brzeg morski i straże Jereta usuwały się pośpiesznie z lodów, które mogły lada godzina zacząć pękać, kiedy gońcy z północy dali znać, iż Zwycięzca z ostatniego nocnego postoju wyruszył i niebawem stanie wśród oczekującego go ludu.

Wieść radosna rozeszła się w jednej chwili po całej osadzie, zwłaszcza że mieszkańcy, nie mogący się przez całą długą noc ranka doczekać, o świcie już mimo mrozu wychodzić zaczęli z domów i stawali na stoku wzgórza, skąd widać było szeroką, śniegiem ubieloną równinę. Słońce wychodziło z morza leniwie

i przenosząc złotymi promieniami obły grzbiet wyniosłości, na której miasto było zbudowane, strącało cienie oczekujących daleko, daleko na białą równinę, ścieląc je, jakby wysłanniki⁴³ tęsknoty ludu, pod nogi nadchodzącemu...

A on szedł naprzeciw wschodzącego słońca po śniegach topniejących, po strzelającej spod nich bujnej, żywej, księżycowej zieleni, sam jak słońce jasny i rozpromieniony – wesoły, że po długiej nocy światło znów widzi, rad, że usłyszy za chwilę łoskot morza na skalistym brzegu. Młody, krzepki i śmiały, cieszył się życiu i dziwnym przygodom swoim, niepomny już przygńebienia i wątpliwości, które go trapiły w dniu poprzednim i w ciągu długiej nocy jeszcze.

Zabawnie lekką wydawała mu się dzisiaj ta mimowolnie podjęta rola, która wczoraj (ach! to „wczoraj” o dwa ziemskie tygodnie odległe!) straszyla go takim ciężkim i nieznośnym brzemieniem. Z dziecinną prawie radością w dwudziestokilkuletnim sercu myślał o tym, że zjawił się tutaj jak młody, zwycięski bóg, z dalekiej gwiazdy zesłany, że wyzwoli i uszczęśliwi lud księżycowy, a potem odleci znowu przez otchłan przestrzeni do dalekiej ojczyzny swojej, żegnany jak dobre i na wieki w ludzkiej pamięci tutaj żywe zjawisko. Myślał, jak kiedyś, powróciwszy na Ziemię, będzie opowiadał, wskazując jasny Księżyc wschodzący, że był tam i dobro zdziałał i że tam, w niebieskich przepaściach, błogosławią imię jego. Zdawało

⁴³ *ścieląc je jakby wysłanniki* – dziś: (...) jakby (niby) wysłanników. [przypis edytorski]

mu się teraz, że czynem swoim nadzwyczajnym, przebywając międzyplanetarne przestwory, zyskał prawo przyjęcia na się urosłej w ciągu wieków legendy o wybawicielu, a z prawem i obowiązkiem spełnienia wedle sił tego, czego się tutaj po nim spodziewają. A zresztą czyż nie tkwi w tym zrządzenie jakiegoś niepojętego Losu czy Opatrzności, że właśnie on na Księżyc się dostał, kiedy tu na Zwycięzcę z gwiazd przybyłego czekano?

Myślał o tym wszystkim, idąc nad brzegiem rozpetanego z lodów strumienia, po kwiatach i ziołach przedziwnych, spod nóg mu do życia po nocnym śnie wystrzelających – i wielka radosna дума przepełniała mu serce i pewna siebie moc huczała w rozkiełzanych tętnach. Śmiał się do biegnących obok „krasnołudków” i cieszył się razem z nimi wschodzącym słońcem „nowego dnia”. Zdjęła go głęboka, wesołym ludziom właściwa dobrotliwość – rozmawiał łaskawie z cisnącymi się karlikami, uśmiechał się do kobiet, a nawet na biedną Nechem, która od chwili pamiętnego wyznania nie odstępowała go ani krokiem, biegnąc jak pies przy jego nodze, innym dzisiaj patrzył już okiem. Żal mu jej tylko było i cieszył się, dufny w swe siły, że z jego przyjściem skończy się wszechwładztwo szernów i to ognębienie⁴⁴ rodu ludzkiego. Myśląc o tym, uśmiechnął się do patrzącej wciąż w jego oczy kobiety i pogłodził ją dłonią po głowie.

– Jaki ty dobry jesteś, panie! – zawołała z wyrazem nieopisanej psiej wdzięczności w dużych, wybladłych oczach.

⁴⁴ ognębienie – dziś: zgębienie. [przypis edytorski]

– Dlaczego nazywasz mnie dobrym? Wszakże zabiłem twójego...

– Ach, tak, tak, panie! zabiłeś go, ale to był morzec i nawet śmiał zranić ciebie – rzekła, patrząc na szeroką krwawą szramę na czole Markowym. – Bronić go jednak chciałeś, kiedy go kamienowano, i nade mną biedną litość okazałeś! Gdyby tamci wiedzieli...

Wstrząsnęła się cała i zgarnęła w sobie pod falą nieopisanego strachu.

Marek chciał odpowiedzieć, ale gwar mu przerwał nagle powstający, z dalekimi zmieszany krzykami. Spostrzeżono ich już w osadzie przy *Ciepłych Stawach* i ludzie, na wałach czatujący, poczęli zbiegać w dół, na równinę, i łączyć się wśródokrzyków ze świętą Zwycięzcy. Rychło też i bramy miasta się otworzyły, przepuszczając idącą na powitanie starszysznę.

Teraz Elem, Braćmi Zakonu otoczony, wystąpił naprzód – poważny, uroczysty, w kapłańskie szaty czerwone odziany, i wiódł orszak cały ku bramom, pośród cisnącego się zewsząd tłumnie ludu.

W powitalnym poselstwie Malahudy nie było. Przyszli po niego starsi z ludu, ale on wyprawił ich samych, mówiąc, że czekać będzie Zwycięzcy na stopniach świątyni, aby go przyjąć tutaj, gdzie niegdyś Stary Człowiek mieszkał... Kiedy po ich odejściu pozostał sam, wezwał Ihezał i nie wołając sług, począł się przy jej pomocy ubierać. Kazał z zamczystych, złotem i miedzią kutych szaf dobywać szaty co najkosztowniejsze: stare,

pracowicie niegdyś przez pobożne kobiety dziergane tuniki, płaszcze z najprzedniejszych futer ze szczerozłotymi zapięciami i pasy tak gęsto drogim nasadzone kamieniem, że wałki skórzane trzeba było pod nie podkładać, aby ciężarem bioder nie obrażały.

– Po raz ostatni, po raz ostatni... – mówił, patrząc na krzątającą się Ihezał.

Wybrał wreszcie tunikę czerwoną, po kostki nóg sięgającą i wyszytą całą w dziwne kwiaty, jakich nigdy na Księżycu nie widziano (mówią niektórzy, że na Ziemi pono rosną takie), spiał ją ponad biodrami pasem szerokim z poźółkłej kości, złota i kamieni, który był niegdyś własnością wielkiego kapłana i proroka Ramidy, i przykrył to wszystko bezcennym czarnym płaszczem, zrobionym z futra żywcem ze skóry odartych szernów. Płaszcz ten, jako pamiątka odniesionego przedwiekami świetnego zwycięstwa (rzadkie one były w historii księżycowego ludu – niestety!), ceniony był na równi ze świętościami największymi i razem z nimi w podziemnym skarbcu chowany. Stamtąd wyniosła go teraz na rozkaz dziadka Ihezał razem z kołpakiem prastarym ze zwieszającymi się aż do pasa sznurami bursztynów i pereł ogromnych, w którego złotym, rzezanym naczółku, otoczony bajecznej wielkości szmaragdami, świecił się jasny kamień, wedle podania przez Starego Człowieka ongi noszony.

Malahuda nałożył kołpak na włosy, rytualną, złotą związaną obręczą – wsunął na stopy sandały białe, rubinami zdobne, narzucił kosztowny łańcuch na szyję i wyciągnął ciężką od

pierścieni dłoń po łaskę kościaną, dłutem misternie wyrobioną...

Teraz Ihezał wsparła ramieniem starca, uginającego się pod ciężarem szat i łańcuchów – i wiodła go do świątyni... A on przystawał na stopniach i oglądał się za każdym krokiem, mruczając coś do siebie niewyraźnie. W wielkiej sali podszedł do głównej kazalnicy i oparłszy się ramieniem o złoty znak Przyjścia, świecący na jej przodzie, ocierał pot, rzęsiście mu na czoło występujący.

– Po raz ostatni, po raz ostatni – szeptał i kiwał głową, ciężkim arcykapłańskim nakrytą kołpakiem...

Ihezał odeszła nieco ku przodowi. Milcząca i posłuszna dotychczas, czuła w tej chwili, że duszność opada ją w tej opustoszałej świątyni. Stała u szeroko rozwartych drzwi wchodowych i wsparta na jednym z dwóch olbrzymich filarów alabastrowych, portal podtrzymujących, patrzyła przed siebie, poza miasto, na daleką równinę, po której stapał kędyś Zwycięzca. Była chwila, że zdawało jej się, iż słyszy płacz dziadka poza sobą; na jedno mgnienie oka rysy twarzy ściągnęły jej się jakimś kurczem bólu i niechęci, ale nie obejrzała się nawet... Bezwiednym, sennym niemal ruchem sięgnęła dłońmi poza uszy i nabrawszy w nie pełno włosów złotych i długich, ściągnęła je na usta, na białą szyję i pierś, spod rozchylonej ametystowej szaty wyglądającą... Płomień uderzył jej na skroń, wargi purpurowe poczęły drżeć – przysłoniła ogromne czarne oczy powiekami, wsłuchana w cichy i jasny śpiew swojej duszy:

– O! przyjdź... o! przyjdź...

Wyjdę naprzeciw ciębie z mrocznej świątyni, uklękę przed tobą na złotym piasku i patrzeć będę w twe oczy, które muszą być jasne, jako te gwiazdy, skąd do mnie przychodzisz!

Przychodzisz do mnie, bo ja jestem tęsknota ludzkich, dalekiej gwiazdy rodzinnej pomnych, pokoleń, ja jestem miłość, która zjawę twą wypiełgnowała, ja piękno ostatnie wydziedziczonych i smutnych wygnańców.

O, przyjdź! – o, przyjdź! promienny, zwycięski, boski!...

Gorąca fala załopotła jej w piersi i rozkosznym uściskiem oddech zdławiła... Mroczna świątynia poczęła jej ginać w oczach, przed którymi falowało tylko jakieś morze światła, blasku i zieleni...

Trwała tak długo w słodkim, półsennym odrętwieniu, aż wyrwał ją z zadumy nagły łomot kroków i krzyki wpadających zewsząd ludzi. Wołano arcykapłana.

Zwycięzca wszedł już był w bramy miasta i zdążał właśnie ku świątyni.

Nagłym podrzutem targnęła się w tył; serce zatłukło jej się w piersi jakimś niespodziewanie opadającym ją lękiem chciała ukryć się, uciekać, ale w tej chwili ogromna niemoc wzruszenia ją ogarnęła... Przyciskając dłońmi huczące serce, z niepojętymi łzami w oczach osunęła się cicho do stóp alabastrowej kolumny.

Jak przez sen widziała dziadka, który, nagle zmieniony i spokojny, z dziwnie śmiało podniesioną głową, w szatach swych arcykapłańskich przez młodszych kapłanów pod ręce prowadzony, przeszedł koło niej ku rozwartym drzwiom z

długim, pośpiesznie gromadzącym się za nim orszakiem – słyszała jak przez sen hałas kroków licznych po kamiennej posadzce, okrzyki i daleki szum rozfalowanego przed świątynią ludu – a potem nagły mrok ją ogarnął, dzwony jakieś w uszach zahuczały: zdawało jej się, że leci wirowym, przyśpieszonym ruchem w otchłań gdzieś nieskończoną i bezdenną.

Tymczasem Malahuda stał już na szerokich stopniach świątyni, w tym samym miejscu, kędy⁴⁵ wczoraj właśnie otrzymał był pierwszą wieść o przybyciu Zwycięzcy. Teraz wieść stała się już jawą: ten przybysz dziwny i niepojęty szedł ku niemu, na rękach oszalałego z radości ludu niemal niesiony, widny z daleka, olbrzymi, jasny, promienny...

Arcykapłan ściągnął brwi... Twarda, nienawistna a uparta zawziętość zastygła mu w twarzy. Wsparł się oburącz na lasce kościanej i czekał w orszaku dostojników miasta i świątyni, ku niezmiernemu zdumieniu i zgorszeniu ludu, który się spodziewał, że arcykapłan zejdzie ze stopni, aby kornie powitać Zwycięzcę na dole.

– Malahuda! Malahuda! – krzyczano zewsząd, wołając go.

On jednak nie drgnął nawet. Patrzył przed się spokojnie spod siwych, krzaczastych brwi i jeno⁴⁶ w miarę jak krzyki stawały się coraz natarczywsze, łącząc się z wyzwiskami, w jego stronę rzucanymi, uśmiech coraz wynioślejszy i bardziej ironiczny drgał na jego zaciśniętych wargach.

⁴⁵ *kędy* (daw.) – gdzie. [przypis edytorski]

⁴⁶ *jeno* (daw., gw.) – tylko. [przypis edytorski]

– Malahuda! zejść i pokłoń się Zwycięzcy, którego wiodę oto ludowi!

Elem stał przed nim, w purpurowej szacie od wczoraj przywdzianej – i niemal rozkazującym ruchem ręki wskazywał plac mrowiem ludzi zaległy.

– Przystoi mi miano Jego Wysokości – odparł starzec – jestem arcykapłanem, rządzącym wszystkim ludem księżycowym!

Czarne oczy zakonnika zapłonęły nagle porywczym gniewem.

– Nie jesteś niczym! – zakrzyknął – jeden Zwycięzca dziś włada i ci, którzy jemu służą!

– Dopóki nie złożę swej władzy, jestem, czym byłem... – rzekł Malahuda spokojnie – i nim twój Zwycięzca wejdzie na stopnie świątyni, mogę cię kazać okuć i wrzucić do lochu razem z Braćmi, którzy zakon swój złamali, opuszczając bez mego pozwolenia *Kraj Biegunowy*.

Twarz Elema poczerwieniała, a na skroniach wystąpiły mu sine żyły.

– Ja niczyjego pozwolenia nie potrzebuję – mówił, dusząc się od wściekłości – i nie słucham nikogo, nie tak, jak ty, sługo i pachołku szernów!

Zwycięzca wchodził na stopnie świątyni, Malahuda więc, nie odpowiadając już nawet na straszliwą obelgę zakonnika, usunął go jeno dłonią sprzed siebie i stanął twarzą w twarz wobec dziwnego przybysza.

Marek, stojąc o kilka stopni poniżej, patrzył na starca z dobrym, jasnym uśmiechem i wyciągał dłoń na powitanie. On

jednakże uśmiechem nie odpowiedział ani dłoni nie wyciągnął, nie skłonił nawet głowy, choć wszyscy dokoła na twarz w powitalnym upadli pokłonie.

Patrzył przez chwil kilka prosto w oczy przybyłemu, aż odezwał się wreszcie:

– Witam cię, panie, ktokolwiek jesteś, ponieważ cię tutaj powszechna wola ludu przywiodła...

– Sam przybyłem, z własnej woli jedynie – odparł Marek, poważniejąc.

Malahuda skłonił z lekka głowę.

– Dla mnie przyprowadza cię wola ludu, który od siedmiu setek lat czekał na Zwycięzcę i ciebie nim dzisiaj mianuje.

– Nie jestem jeszcze „Zwycięzcą”, ale chciałbym się nim stać, widząc, co się tu z wami dzieje...

– Jesteś nim, o panie! – wtrącił Elem – jesteś nim, odkąd noga twoja na Księżycu stanęła!

Malahuda zmarszczył z lekka brwi i nie zważając na słowa współzawodnika, mówił dalej:

– Musisz być Zwycięzcą, panie, kiedy tutaj przyszedłeś i wywracasz wszystko, co było dotychczas...

Marek chciał odpowiedzieć, ale stary arcykapłan wzniosł rękę, jakby nakazując milczenie.

– Nie wiem, skąd przybyłeś, ani jak, ani po co – prawili – ale widzę, że większy od nas jesteś i snadź potężniejszy; pełnij więc, jeżeli chcesz, to, czemu myśmy nie podołali... A jeżeli rzeczywiście z Ziemi przybyłeś i jeżeli to prawda,

że przed wiekami podobny tobie człowiek ludzkie pokolenie tutaj przesiedlił – z tej gwiazdy wielkiej, gdzie podobno lepiej ludziom było, to wiedz, że obowiązkiem jest twoim odkupić dzisiaj tę winę straszliwą tamtego i od nędz nas zbawić, na które od wieków jesteśmy skazani... Dotychczas podtrzymywała nas nadzieja, że przyjdzie Zwycięzca; w tej oto świątyni, przed której progiem cię witam, ja lud codziennie tym słowem krzepiłem – pamiętaj, że od dzisiaj, kiedy ty przyszedłeś, nie ma już nadziei, a więc musi być jawa!

Nie wszyscy w tłumie mogli przemowę Malahudy dosłyszeć, ci jednak, którzy ją słyszeli, poczynali już głośno szemrać na niezrozumiałe i wprost kacerskie słowa, jakie z ust świętobliwego arcykapłana padały, ale on nie zważał na to. Zdania, które wczoraj jeszcze jemu samemu byłyby się wydawały czymś tak strasznym i potwornym, że pomyśleć by je było trudno, teraz wymawiał jasno i dobitnie wobec ludu, któremu prawił zawsze, iż błogosławić winien Starego Człowieka, który ludzi na Księżyc sprowadził – i wobec tego Zwycięzcy, o którym kazał codziennie, że przyjdzie w glorii, a wszyscy w serc rozradowaniu na twarz, witając go, padną.

– Nie wiem, czy byłeś obiecany – mówił, a głos mu rósł, potężniał i grzmiał w drobnej piersi – nie wiem, czyś ty był obiecany, choć Księgi wszystkie pełne są Obietnicy, ale widzę oto, żeś przybył – i dlatego powiadam ci jeszcze raz: wypełnić musisz to, co sobie tęsknota nasza krwawa wyśniła od wieków, a jeśli nie wypełnisz – zaprawdę, że lepiej byłoby dla nas i dla

ciebie, aby noga twoja nie powstała była nigdy na Księżycu, bo będziesz pośród nas przeklęty.

Wśród tłumu zerwały się naraz okrzyki grozy i oburzenia, a nawet przestachu, że potężny Zwycięzca mścić się może na ludzie za bluźnierstwa arcykapłana. Wołano, że Malahuda, jeżeli nie jest dotknięty nagłym szaleństwem, to na śmierć zasłużył tymi słowami, i wzywano Elema, aby wziął po nim kołpak arcykapłański i wiódł Zwycięzcę w progi świątyni. Starzec niewzruszenie tę burzę przeczekał, a gdy na chwilę uciszyła się nieco, rzekł znowu, do Zwycięzcy się zwracając:

– Jestem czterdziestym czwartym i snadź ostatnim już arcykapłanem, rządzącym ludem księżycowym. Wiodłem go, krzepiłem i karmiłem w potrzebie, jako dziadowie i pradziadowie moi, dopóki tęsknił i czekał. Dzisiaj ten lud powiada, obwołując ciebie, dziwnego przybysza, oczekiwanym Zwycięzcą, że rola i ciężki trud mój są już skończone. Rad jestem temu, bo sił mi już więcej nie staje – i nie wiem, co bym mógł tutaj jeszcze zrobić... Składam więc dostojęństwo swoje i władzę na progu świątyni i ostatnim arcykapłańskim czynem ogłaszam za rozwiązana religię dawną, która nas dotychczas krzepiła i utrzymywała. Budujże ty teraz nową swoimi czynami. Bóg widzi, że inaczej nie mogę.

To mówiąc, sięgnął rękoma po ciężki kołpak arcykapłański, aby go zdjąć z siwej głowy...

Marek postąpił szybko naprzód i chwycił go za rękę.

– Nie! – zawołał – pozostań nadal, czym byłeś, i rządz jakdotychczas! Z tego, co mówiłeś, widzę, że możemy być

przyjaciółmi, a nawet braćmi...

Malahuda uwolnił z lekka dłoń swą z uścisku Markowego.

– Nie! przyjaciółmi ani braćmi być nie możemy. Z innych gwiazd jesteśmy – i za wiele o tym trzeba by mówić. Z porządku rzeczy mógłbyś albo ty być władzy mojej poddany, albo ja twym sługą. Pierwsze jest niemożliwe, drugiego nie chcę, dopóki nie dowiem się z czynów, ktoś jest. Od dziś dnia nie ma już tego, co było – i ja jestem niepotrzebny.

Zdjął kołpak z głowy i rzucił go na bruk kamienny, rzucił łaskę, pas i łańcuch kosztowny, aż wreszcie zdjął z ramion i płaszcz ze skóry szernów, uszyty ongi w roku zwycięstwa, i chyląc się po raz pierwszy, rozesłał go pod nogi przybysza.

– Przez ten płaszcz – rzekł – ze skór wrogów naszych działany a arcykapłańskie barki od wieków kryjący, droga twoja do świątyni. Pamiętaj, że zdeptać go musisz, aby wniknąć. Zniszczyłeś religię, zniszcz wrogów naszych, jeśli chcesz, abyśmy cię kiedyś błogosławili.

To powiedziawszy, ze wszystkich oznak dostojęństwa i władzy rozdzielony, w jednej szacie tylko i z odkrytą głową siwą począł schodzić sam ze stopni, prosto w tłum, który teraz, nienawistnych przed chwilą okrzyków niepomny, z mimowolnym szacunkiem przed nim się rozstępował.

Marek milczał, stojąc bez ruchu, choć po odejściu Malahudy wzywały go coraz liczniejsze głosy ludu, aby wszedł do świątyni – choć wzywał go Elem, który podjął był porzuconą czapkę arcykapłańską i na znak nowej władzy nakrył nią łysą czaszkę

swoją.

Stał tak przez jakiś czas – cichy i zadumany, ważąc snadź⁴⁷ w myśli to, co usłyszał – aż wreszcie i lud przycichnął dziwnym zachowaniem się jego zaniepokojony.

Wtedy Marek nagle wzniosł głowę i krokiem pewnym wstąpił na czarny, koralem szyty i perłami płaszcz ze skóry szerna, rozesłany przez ostatniego arcykapłana dawnej ery pomiędzy nim a złotymi wrotami świątyni.

Tłum, widząc to, wybuchnął radosnym okrzykiem tryumfu i uniesienia; zaczęto się cisnąć znowu do jego nóg, sławiono moc i błogosławiono naprzód jego imię, przyszłymi zwycięstwami głośne.

Marek wzniosł ręce i dawał znak, że chce mówić – ale długi czas upłynął, nim lud, przycichłszy nieco, pozwolił mu dojść do słowa. Zaledwie jednak usta otworzył, stało się zgoła coś niespodziewanego. Oto od strony północy, kędy trójszczytowy zamek szernów się wznosił, buchnęła fala gęstych i czarnych dymów, słońce w mgnieniu oka przysłaniając, a wraz podniósł się krzyk straszliwy trwogi i wściekłości. Słyszać też było szczęk i nawoływania z nagła powstającej walki; tłum zakotłował się i ruszył – jedni cisnęli się ku Zwycięzcy, pomocy jego wzywając, inni zaś biegli, krzycząc, ku domostwom swoim zagrożonym.

Oto szernowie pod wodzą Awija wypadli byli z cytadeli i przełamawszy nagłym natarciem łańcuch arcykapłańskich straży, wpadli do osady, szerząc przestach, mord i pożogę.

⁴⁷ *snadź* (daw.) – widocznie, zapewne, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Marek, podniósłszy głowę, dojrzał z dala ich czarne postacie, jak wznosiły się ciężko na skrzydłach szerokich ponad tłum, miotając weń z góry pociski i żagwie płonące...

IV

Ihezał, przytulona do stóp alabastrowej kolumny, nie mogła wyrozumieć słów, którymi Malahuda witał Zwycięzcę, ale słyszała dźwięk jego głosu i pojęła, że mówił rzeczy ważne i uroczyste. Z ukrycia swego patrzyła przez cały czas na dziadka, na płaszcz jego czarny i wysoki kołpak arcykapłański, które jej zasłaniały poniżej stojącego przybysza z dalekiej gwiazdy. Złorzeczyła w duchu temu szerokiemu płaszczowi i powitaniu, w nieskończoność się przeciągającemu, drżąc z niecierpliwości, aby ujrzeć co prędzej twarz tego oczekiwanego, a nie śmiała w dziwnym jakimś lęku wyjść z kryjówki lub chociażby ruszyć się z miejsca. Wyteżała wzrok, jakby przebić chciała nim stojącą między nią a Zwycięzcą postać arcykapłana, gdy on jednakże zrobił ruch, mogący jej widok odsłonić, przymykała mimo woli oczy, przyciskając jednocześnie dłońmi łopotające⁴⁸ w piersi serce...

„Teraz go ujrzę!” – myślała widząc, że Malahuda usuwa się nieco na bok, i zawarła znów szczelnie powieki.

Jakieś wewnętrzne znużenie ogarnęło ją: odwróciła twarz w głąb świątyni i poczęła patrzeć bezmyślnie na złoty znak Przyjścia na przodzie kazalnicy.

Zdawało jej się, że jest jeszcze to, co było...

...Oto arcykapłan Malahuda stoi na kazalnicy i prawi, a ona –

⁴⁸ *łopotający* – dziś: *łopotający*. [przypis edytorski]

dzieweczka nieletnia, w barwnym tłumie ludu ukryta, słucha tej przedziwnej powieści czy bajki...

„Z dalekiej gwiazdy, świecącej nad pustyniami, przyszliludzie onego czasu...

I stamtąd przyjdzie, gdy czas się dopełni, Zwycięzca jasny i promienny...

Dzień nastanie wtedy na Księżycu wieczny i szczęście...”

Słońce wpada do świątyni przez kolorowe szyby i drży na ciemnych, malowanych ścianach, drży na głowach zasłuchanego ludu – złote jak ta bajka wyśniona:

„Z dalekiej gwiazdy, świecącej nad pustyniami...”

A jak On będzie wyglądał? Czy oczy jego będą błękitne? czy włos będzie złoty i długi? A gdy usta otworzy, młode i purpurowe, jaki głos z nich wypadnie? co za wezwanie? jakie błogosławieństwo?

Pójdzie przez księżycowe góry i doliny – aż po ostatnie wszystkich krajów końce – od pustyni aż do siniego morza jasny jak słońce, uśmiechniony⁴⁹ jak zorza...

Drgnęła. Wszakże On jest tutaj! o krok – w pobliżu. Gwałtownym ruchem zwróciła się ku drzwiom. Oto dziadek jej zdejmuje złoty kołpak z głowy i rzuca na kamienną posadzkę; widzi, jak Elem schylił się po niego skwapliwie, nie wiedzieć dlaczego śledzi pilnie ruchy jego białych rąk, goniących po schodach toczącą się czapkę... A potem...

Usłyszała krzyk i przelekła się, spostrzegłszy, że jest jej

⁴⁹ uśmiechniony – dziś: uśmiechnięty. [przypis edytorski]

własny. Na skórę szerna rozpostartą, na stopień najwyższy wstąpił i uderzył ją w oczy nadludzkim swoim zjawiskiem.

– On, on!... – szeptała, nie mogąc wzroku oderwać od tej olbrzymiej, jasnej postaci, górującej tak ponad tłumem księżycowym, jak wyniosły krater *Otamora* góruje nad okolicznymi wzgórzami. Lęk, miotający nią jeszcze przed chwilą, zniknął nagle – czuła tylko jakieś straszne i rozkoszne razem unicestwienie i spokój, spokój nagłą cichą falą skądś spływający...

– Tak. To On – mówiło w niej coś z głębokim i dziwnie pewnym przeświadczeniem.

– Przyszedł.

Wobec tego wydało jej się wszystko inne mało ważnym i nic nie znaczącym. Patrzyła z jakimś obojętnym uśmiechem na Malahudę, zstępującego z odkrytą głową ze stopni, na Elema w arcykapłańską czapkę ubranego, na tłum cisnący się około nóg Zwycięzcy.

– Około Jego nóg...

I uśmiechała się jeszcze, chociaż nagła burza powstającej walki u bram miasta zwiłała w mgnieniu oka tłum ze stopni świątyni – uśmiechała się, patrząc, jak Zwycięzca biegł, niby młody jasny bóg, w stronę dymów i strzelających z nich ogni, nawołując mężów i zbrojnych, cofających się w pierwszej chwili pod natarciem. Kiedy jej znikł z oczu, patrzyła jeszcze za nim zaczarowanymi źrenicami z tym samym spokojnym uśmiechem na ustach.

Do świątyni zaczęły wpadać tłumnie kobiety, szukając tutaj wedle zwyczaju schronienia przed niebezpieczeństwem. Biegły z krzykiem i narzekaniem, niektóre w lęku okropnym, obłąkane wprost z przerażenia. Ostry zapach dymu i spalenizny wpadał za nimi przez drzwi rozwarte.

Ihezał – nieruchoma – patrzyła na nie ze zdumieniem, jakby nie rozumiejąc, co krzyczą i czego się boją, kiedy On jest pośród ludu...

On!...

Jedna, widząc wnuczkę starego kapłana tak we drzwiach stojącą, szarpnęła ją za rękaw szeroki, mówiąc coś szybko i popędliwie, czego ona zgoła nie rozumiała. Inne wołały ją także, ciągnąc w mroczną głąb świątyni, ale ona uwolniła się z ich rąk i wyszła owszem przed bramę. Plac był pusty zupełnie; na stopniach leżał stratowany płaszcz ze skóry szerna, porozgniatanych pereł i koralu pełny...

Ihezał podjęła go i narzuciwszy sobie na ramiona, weszła na powrót do świątyni. Kobiety pokryły się w dalszych krużgankach, a częścią⁵⁰ w otwartym dzisiaj skarbcu podziemnym; w wielkiej hali nie było nikogo. Dziewczyna przeszła przez nią, a minawszy kazalnicę, zwróciła się na lewo, kędy⁵¹ schody kręte, owijające się wężem dookoła filaru, wiodły na szczyt wyniosłego dachu.

Szła z wolna, coraz bliższa malowanego sklepienia – i nie

⁵⁰ *częścią* – dziś w tym znaczeniu: częściowo. [przypis edytorski]

⁵¹ *kędy* (daw.) – gdzie. [przypis edytorski]

myśląc o niczym innym, uśmiechała się cicho, że jej niknie w dole mozaikowa posadzka, a rosną natomiast coraz bliższe kwiaty i postacie u góry.

Za każdym razem, gdy się znalazła na wysokości którego z okien, uderzała na nią zmieszana fala zgiełku, od strony toczącej się walki bijąca, ona jednak nie zwracała na to uwagi, ciesząc się tylko jak dziecko, że jest coraz wyżej i wyżej...

Ocknęła się dopiero stanąwszy na dachu, kiedy wionął jej w oczy rzeźwy wiatr od morza. W pierwszej chwili nie wiedziała prawie, jak się tutaj dostała na tę górującą nad miastem i okolicą wysoczyznę. Spostrzegła teraz dopiero świadomie, że podeptany płaszcz ma na ramionach, i rzuciła go z nagłym obrzydzeniem precz od siebie. Jakiś spazm niespodziewany i gwałtowny ścisnął ją za gardło: powstrzymywała się przemocą, aby nie płakać, chociaż nie wiedziała, o co chce płakać i czemu się od płaczu powstrzymuje...

Morze huczało szeroko, pod blask słońca złote i ruchliwe. Fale, w miarę jak zbliżały się ku brzegowi, dostawały białych grzyw i rzucały się na piasek z głuchym łoskotem, rozlewając się po nim srebrnymi kręgami. Gnał je wicher, powstały kędyś daleko na środku wód, pod leniwie wschodzącym słońcem, hen – poza wyspą, widną z dala, którą nazywano *Cmentarną*, gdyż według podania pochowane tam były szczątki pierwszych ludzi, z Ziemi na Księżyc ze Starym Człowiekiem przybyłych. Ihezał, tyłem o kamienną balustradę dachu oparta, patrzyła na słońce i na wyspę, widoczną stąd jak czarnosina plama na srebrzystej

roztoczy⁵².

Dziwny był ten wiatr i ten łoskot morza nieustanny przy jasnym słońcu na pogodnym niebie, które, dość wysoko już wzniesione, lało żar na twarz jej, słonym powiewem wichru smaganą. Wciągała z lubością w pierś ten rzeźwy oddech morza, rozchylając spieczone wargi purpurowe. Pod przymknionymi⁵³ powiekami, w oczach blaskiem oślepyłych, poczęło jej wszystko mącić się i falować: morze wzburzone i złote, niebo i wyspa ta czarna, zdająca się na grzbietach fallecieć ku niej przyśpieszonym ruchem...

„Z dalekiej gwiazdy świecącej nad pustyniami przyszli ludzie onego czasu...” – zadźwięczało jej w uszach wspomnieniem.

Nagle odwróciła się. Wszakże On tam jest i walczy! Jak gdyby teraz dopiero zrozumiałwszy nareszcie, po co tutaj wyszła, zerwała się gwałtownie i przebiegła przez platformę ku drugiemu końcowi, skąd widać było miasto i szerokie za nim równiny. Szczęk walki milknął już i dymy opadały z wolna nad przygasającymi zgłiszczami.

Szernowie, zwycięzcy w pierwszym ataku, mimo szalone natarcie⁵⁴ zmuszeni byli do sromotnej ucieczki. Przyczynił się do tego przede wszystkim popłoch, który wybuchnął w szeregach oddanych im morców, kiedy zobaczyli walczącego

⁵² *roztocza* – rozciągająca się przestrzeń, płaszczyzna. [przypis edytorski]

⁵³ *przymkniony* – dziś: przymknięty. [przypis edytorski]

⁵⁴ *mimo szalone natarcie* – dziś, poza niektórymi konstrukcjami (np. mimo wszystko) najczęściej z D.: mimo szalonego natarcia. [przypis edytorski]

po ludzkiej stronie olbrzyma. W panicznym przestachu rzucali broń i biegli ukryć się za mur warowny, porzucając panów swych na pastwę losów, niepomni straszliwej i okrutnej kary, jaka ich czeka za to odstępstwo. Własnym siłom pozostawiona garstka szernów walczyła zajadle – nie mogła jednak podołać przewadze. Unosząc się ciężkim i niedołęznym lotem ponad ludzkimi szeregami, razili je z góry ogniem i strzałami, co chwilę jednak któryś z nich upadał, dosiężony straszną bronią palną Zwycięzcy lub dobrze wymierzonym kamieniem procarzy. Nie cofali się jednakże mimo strat do ostatniej chwili, aż skrzydła im mdleć poczęły, wydając ich na pastwę rozwścieczonego tłumu.

Ihezał widziała z góry, jak bliżsi warownego zamku krzywym, ociążałym lotem zdążać poczęli nagle ku jego wieżom, padając poza ogrodzeniem od ran i znużenia. Ci jednak, którzy zbytnio w głąb ponad ludzką osadę się odbili, nie zdołali już bezpiecznego miejsca dosięgnąć i upadali wśród walczących, na dachy domów lub bruk uliczny, aby znaleźć tu natychmiastową i straszną śmierć z ręki przeważających zwycięzców. Łamano im skrzydła i tłuczono członki kamieniami albo rzucano związanych w żar dopalających się domostw. Żaden jednak z torturowanych nie prosił łaski ani zmiłowania, czy to wiedząc, że prośba byłaby daremna, czy też przez bezgraniczną dla rodu ludzkiego pogardę.

Ihezał obojętnym okiem rzuciła na te – naturalne, jak jej się zdawało – końcowe sceny walki i szukała w tłumie Zwycięzcy. Stał opodal, bój już skończywszy, ale jeszcze ze straszną swą bronią w ręku – czujny i uważny, jak z ruchów poznać było

można. Rozglądał się wkoło i dawał głosem i ręką jakieś rozkazy. Dziewczyna słów nie mogła dosłyszeć, ale domyślała się łatwo, że idzie o odcięcie powrotu dwom czy trzem szernom, w zamęcie walki nad osadą zagubionym i pragnącym się teraz dostać do warowni. Jeden z nich, nie mogąc już latać ze znużenia, krył się tylko po dachach, przerzucając się na skrzydłach – gdy go wypłoszono – z trudem z jednego na drugi. Inny usiadł na zrębie muru i czekał spokojnie śmierci z ręki Zwycięzcy, który, spostrzegłszy go właśnie, wymierzył ku niemu broń swą zabójczą. Za trzecim goniono z krzykiem i nawoływaniem.

Ten, widząc, że odwrót ma odcięty, a nie mogąc się na znużonych skrzydłach wznieść dość wysoko, aby od strzał ludzkich być zabezpieczonym, rzucił się w wolną od wojowników stronę, ku świątyni i morzu – i przepadł gdzieś między domami. Spostrzeżono jego ucieczkę, a w obawie, aby osadę okrążywszy, nie dostał się ponad morzem do zamku, zaczęto go szukać pośpiesznie i zapalczywie.

Zwycięzca, ubiwszy drugiego szerna, wziął też udział w pościgu i biegł ku świątyni, rozglądając się wkoło bystrzymi oczyma.

Właśnie na niego patrzyła Ihezal, czekając z mimowolnym pragnieniem, aby spojrzał w jej stronę, gdy nagle uderzył ją łomot jak gdyby spadającego tuż za nią ciała. Odwróciła się szybko – i krew jej w żyłach zamarła z przerażenia. O kilka kroków za nią leżał na płaskim kamiennym dachu świątyni ścigany szern. Leżał na pozór bezwładnie – jedno

skrzydło zranione i podziurawione w kilku miejscach broczyło żółtawozieloną krwią – na piersiach i nogach miał też szerokie rany od strzał; znać jednak było, że żył: pierś mu dyszała ciężko, a czworo czerwonych i błyszczących oczu wpatrywało się uporczywie w dziewczynę.

Ihezał nie zdołała nawet krzyknąć, zaczarowana tym strasznym wzrokiem. Poznała wielkorządcę Awija po złotych na ramionach i u przegubów stóp obręczach i patrzyła na niego z martwym przerażeniem, z którym łączyła się wzrastająca ciekawość. Potworny i poraniony szern, po raz pierwszy w życiu z bliska widziany, wydał jej się mimo wszystko dziwnie i groźnie pięknym.

Była w nim jakaś moc zła i przewrotność napełniająca trwogą, a wraz i podziwem. Leżał na jednym boku, na złamanym skrzydle – drugie, czarne i lśniące, z granatowymi połyskami, roztoczył szeroko na posadzce. Głowę miał nieco uniesioną i pod słabo fosforyzującym czołem błyszczało czworo okropnych, krwawych oczu...

– Ukryj mnie! – charknął ludzką mową, patrząc wciąż na dziewczynę. W słowach jego nie było prośby, lecz raczej rozkaz nieodparty. Ihezał bezwiednie zbliżyła się o krok ku niemu.

– Ukryj mnie, suko! prędko! – zasyczał znów szern. A ona automatycznym, bezwolnym ruchem zbliżała się wciąż, nie mogąc oczu od płonących źrenic jego oderwać. Naraz, w chwili kiedy już krok ich tylko dzielił, zraniony szern podrzucił się gwałtownie ostatkiem siły i błyskawicznie wysunął spod skrzydeł

straszne białe dłonie.

Z nagłym krzykiem grozy skoczyła w tył, unikając zgubnego uścisku. W tym momencie wróciła jej cała przytomność: chwyciła leżący podarty płaszcz arcykapłański i niespodziewanym ruchem zarzuciła go na głowę wrogowi – a potem, nie mając nic innego pod ręką, zaczęła zdzierać z siebie szaty i krępować nimi lepiej spletanego szerna.

Tymczasem biegnący wojownicy ze Zwycięzcą na czele byli już przed bramą świątyni. Usłyszała na schodach łomot ich kroków i głośnie nawoływania. Nie zważając na to, że jest prawie naga, rzuciła się ku balustradzie i przechylona – z rozpuszczonymi włosami – poczęła krzyczeć:

– Pójdźcie⁵⁵! pójdźcie...

Tchu jej zabrakło; nie zdołała już powiedzieć, że uciekającego wielkorządcę pojmała.

Z jej głosu domyślono się jednak na dole, że szern tam być musi, rzucono się tedy z pośpiechem, aby go ująć.

– Żywcem, żywcem! – wołał Jeret, który wpadł pierwszy. – Zwycięzca kazał brać żywcem!

W mgnieniu oka przywalono Awija kupą zmagających się, ruchliwych ciał. Osłabiony ranami i zaplątany w podartych szatach niewieścich, nie mógł się nawet opierać; biorący go ludzie jednak nie dowierzali tej jego bezwładności, wiedząc o straszliwej broni, jaką szernowie posiadają w swych białych i miękkich dłoniach, które złączone uderzają nieprzyjaciela

⁵⁵ *pójdźcie* (daw.) – dziś w zdaniu rozkazującym: chodźcie tu. [przypis edytorski]

piorunującym i zabójczym prądem lub – wedle woli – władzę mięśni jego niweczą. Przewalono go tedy na piersi, usiłując ująć każdą dłoń z osobna.

Lewą, spod zranionego skrzydła, szybko wzięto w powrozy, ale do prawej, którą padając przyległ sobą, trudno się było dostać, nie uwalniając go z pęt zarazem. Po krótkiej naradzie Jeret rozkazał czterem co najcięższym chłopom klęknąć na plecach obalonego, a sam z pomocą dwóch jeszcze junaków począł mu wyłamywać zdrowe prawe skrzydło, aby wygrzebać dłoń, ukrytą pod nim i pod piersiami.

Szern, milczący dotychczas pogardliwie, szczechnął z bólu i rzucił się w bok gwałtownie, przewracając gniotących go ludzi, upadł jednakowoż natychmiast, zamroczony potężnym uderzeniem pałki w kark. Teraz wydobyto i drugą rękę i wzięto na powrót.

Jeret kopnął leżącego wciąż twarzą na posadzce.

– Wstawaj, gadzie! – krzyknął.

Awij uniósł głowę i łypnął krwawymi oczyma, ale nie ruszył się z miejsca. Tedy po trzech ludzi chwyciło za każdą linę, do przegubów dłoni twardo przywiązaną, i baczac, aby rąk nie złączył, pociągnięto go ku przodowi dachu, skąd było widać plac, mrowiem ludu zaległy. Tutaj Jeret kazał mu założyć widły pod pachy i dźwignąwszy tak przerzucić przez kamienną balustradę, że zawisł na linach ponad przyczółkiem świątyni.

Poznano z dołu wielkorządce i podniesiono ogromny krzyk tryumfu. Nedorostki rzucały kamieniami, które jednak nie

dosięgały wysoko zawieszonego – plwano w tę stronę i miotano nienawistne wyzwiska i szyderstwa. Szern nie jęknął nawet. Rozkrzyżowany w powietrzu na przodzie świątyni, z bezwładnie obwisłymi skrzydłami i wygiętymi w tył rękoma, patrzył tylko czworgiem swoich dzikich oczu w tłum, z niesłychaną nienawiścią i wzgardą.

Na dach świątyni wszedł Zwycięzca z nieodstępnym Elemem.

– Tu jest, tu jest, panie! – wołał nowy arcykapłan, wiodąc go ku przodowi platformy.

Marek wychylił się, a ujrzawszy szerna, cofnął się z nagłym wstrętem, tak ten widok był potworny i ohydny zarazem.

– Zdjąć go! – zakrzyknął.

Ludzie, trzymający Awija, ściągnęli go, lubo⁵⁶ niechętnie, nie śmiąc się jednak rozkazowi opierać – i przywiedli na postronkach z rozkrzyżowanymi wciąż rękoma przed Zwycięzcę.

Elemowi zapłonęły oczy.

– Jaką mu śmierć przeznaczasz, panie? – pytał natarczywie, kręcąc się około kolan Markowych. – Można by go upiec na rożnie albo, co lepsza, rybom dać zjeść... Ty nie wiesz, panie, jak się to robi? Drze się na nogach mięso na strzepy, aby ryby przywabić, a potem chowa się po pas w wodę...

– Precz! – syknął Marek przez zęby, a potem rozejrzał się wkoło.

– Kto go ujął? – zapytał.

Zaległo głucho milczenie. Ludzie oglądali się jedni na

⁵⁶ *lubo* (daw.) – choć. [przypis edytorski]

drugich; ci, którzy później przyszedli, wskazywali wcześniej przybyłych, aż wreszcie wszystkie oczy zwróciły się na wtuloną w kąt platformy dziewczynę.

– Kto go ujął? – powtórzył Marek.

– Ja.

Wyszła z ciżby i stanęła przed nim. Tak, jak zdarła była⁵⁷ ubranie z siebie, aby szerna nim spowić, stała teraz naga do pasa; od białych bioder tylko spływała jej do stóp lśniąca i fałdzista fioletowa szata... Marek spojrzał na nią, a ją nagle krwawy oblał rumieniec. Mimowolnym ruchem ściągnęła na pierś rozsypane po barkach włosy, jakby ukryć się w nich pragnąc...

– Ty? – szepnął ze zdumieniem – ty?!

– Wnuczka Malahudy! – szemrano poznawszy ją w tłumie. – Arcykapłana starego ostatnia latorośl!

Ona stała tymczasem, patrząc w oczy Zwycięzcy, ze skrępowanym szernem u nóg prawie – i czuła, że pod jego wzrokiem wszystkie siły ją opuszczają. Krew ze zbielełych warg uciekła jej gdzieś do piersi i drgała cikliwymi ciarkami w tętnicach; nogi nagle zesłabły⁵⁸ już się ugiwały... Wysiliła jeszcze wszystką wolę, aby nie upaść...

Naraz uczuła, że ktoś ją obejmuje ramieniem.

– To moja narzeczona – rzekł Jeret, podtrzymując słaniającą się.

⁵⁷ *zdarła była* – daw. forma czasu zaprzeszczonego; dziś: *zdarła* (wcześniej). [przypis edytorski]

⁵⁸ *zesłabły* – dziś: *osłabły*. [przypis edytorski]

Żachnęła się i wyrwała z jego objęć z nagle odzyskaną mocą.
– Nieprawda! – krzyknęła – nieprawda!

I złożywszy na piersi ręce, wołała szybko, jakby z najcięższego
jakiegoś zarzutu chcąc się oczyścić:

– Ty nie słuchaj tego, panie, bo to nieprawda! Może...
niegdyś... istotnie... ale teraz...

Zamilkła nagle.

– Teraz? – zapytał Marek, zdumiony tą całą sceną.

– Teraz – dokończyła, drżący głos mimowolnie zniżając –
teraz ty jeden panem moim jesteś, Zwycięzco, z dalekiej gwiazdy
przybyły, którego imię niech będzie błogosławione po wszystkie
wieki wieków!

Mówiąc to, osunęła się na kolana i przypadła czołem do jego
stóp, zsypując na nie pochyleniem głowy płynne i jaśniejące złoto
swych włosów.

Tymczasem koło nich szmery jakieś rośły, aż wybuchły nagle
burzą zgiełkliwych głosów. Marek, który chciał był⁵⁹ właśnie
odpowiedzieć klęczącej przed nim dziewczynie, wzniósł głowę i
pojrzał⁶⁰ dokoła pytającym wzrokiem, nie mogąc ze zmieszanych
słów i wykrzyków⁶¹ dobrze wyrozumieć, o co idzie.

– Panie! – ozwał się Elem – lud żąda śmierci Ihezał, wnuczki
Malahudy...

⁵⁹ *chciał był* – daw. forma czasu zaprzeszłego; dziś: *chciał* (wcześniej). [przypis edytorski]

⁶⁰ *pojrzeć* (daw.) – dziś: *spojrzeć*. [przypis edytorski]

⁶¹ *wykrzyk* – dziś: *okrzyk*. [przypis edytorski]

Marek uczył, jak dziewczyna w nagłym lęku przyłgnęła piersią do jego kolan.

– Co? – rzekł – co? Czym zawiniła?

Nikt nie odpowiadał. Nagła cisza zapadła, a wszystkie twarze posępne i milczące patrzyły z bezlitosnym wyrokiem w oczach na złotowłosą dziewczynę. Marek spojrzał na Jereta, który – sam byłego arcykapłana krewny – mienił się być przed chwilą jej narzeczoną. Młody wojownik brwi miał zmarszczone i kąsał usta, nie odzywał się jednak ani słowem protestu.

– Musi umrzeć – wyrzekł wreszcie Elem.

– Musi umrzeć! – krzyknięto naraz ze wszystkich stron.

– Czego wy chcecie od niej? co zawiniła? – powtórzył Marek, kładąc obronnym ruchem dłoni na jej włosach.

– Nic nie zawiniła – rzekł Elem – ale umrzeć musi. Była sam na sam z szernem – tu wskazał charczącego w powrozach Awija – samowtór⁶² z nim była, więc musi umrzeć.

– Ależ ona go ujęła! – krzyknął Marek.

– Tak, lecz czyniąc to, była z nim sama tutaj i dlatego musi umrzeć w piasku zakopana. Takie jest prawo.

– Takie jest prawo! musi umrzeć! – zawołano zewsząd.

Zwycięzca zapłonął nagłym gniewem:

– Pluję na prawa wasze! Ja tu dziś prawa stanowią, odkąd uznaliście mnie panem! Będzie żyła, bo ja chcę tego!

Elem zgiął się w pokorze.

⁶² *samowtór* (daw.) – sam z towarzyszem; we dwóch (we dwie, we dwoje). [przypis edytorski]

– Ty możesz wszystko, Zwycięzco, ale nie zechcesz sam chcieć tego, czego my nie chcemy, aby z krwi naszej dzieci szernom się rodziły!

Ihezał zerwała się gwałtownie.

– Ja czysta jestem! – krzyknęła z płonącymi oczyma, twarzą do tłumu zwrócona – słyszycie, czysta! Kto śmie...

Łkanie zdławiło jej dalsze słowa w gardle. Zakryła oczy i padając znów do kolan Markowych, powtórzyła cichym i błagalnym głosem:

– Czysta jestem... Daj na śmierć, Zwycięzco, ale wierz, żem czysta...

Marek schylił się i wziął płaczącą jak dziecko na ręce.

– Jest pod moją opieką! słyszycie? – rzekł. – Nikt jej nie tknie. Ja sam biorę na siebie odpowiedzialność za nią.

Szmer przeszedł między zgromadzonymi, ale nikt nie śmiał się sprzeciwić. Marek zaś dodał jeszcze, zwracając się ku Elemowi:

– A przede mną ty za nią odpowiadasz! Jeśli włos jej z głowy spadnie, to ciebie żywcem w piasku każę zakopać!

Mówił twardym, rozkazującym tonem, do którego przywykł już nadspodziewanie w tym krótkim, wśród księżycowych ludzi spędzonym, czasie.

Elem schylił się w milczeniu.

– A z szernem co każesz zrobić, panie? – zapytał po chwili.

– Będzie żyw tymczasem. Umieścić go w pewnym i dobrym schowaniu. A teraz idźcie stąd wszyscy i zostawcie mnie samym.

Platforma opróżniała się szybko. Awija zwleczono na powrozech krętymi schodami i na rozkaz Elema przykuto z rozkrzyżowanymi rękoma, sznury zastępując łańcuchami, w podziemnym skarbcu świątyni, która odtąd miała być mieszkaniem Zwycięzcy, jako jedyny wzrostowi jego odpowiadający gmach w całej osadzie.

Na dachu pozostała z Markiem tylko Ihezał i ociągający się z odejściem Jeret.

Zwycięzca spojrzał na niego pytająco.

– Panie – rzekł młodzian – ona miała być moją żoną...

– A chciałeś jej śmierci!

– Nie. Nie chciałem ja. Tylko takie jest prawo.

– Było.

– Tym lepiej dla niej, że: było. Jednak i dziś żaden człowiek nie weźmie kobiety skażonej dotknięciem szerna.

Nie wierzysz, że jest czysta?

– Chcę wierzyć i wierzę, kiedy ty to mówisz, Zwycięzco, z gwiazd ku radości oczu naszych zesłany! Ale jeśli tak, prośbę mam do ciebie, ja, który psem twoim jestem i służyć ci będę, jako zechcesz. Nie odbieraj ty mi jej, panie! Ja ją kocham.

Marek zaśmiał się swobodnym, ziemskim swoim śmiechem.

– Nawet dzieckiem będąc, nie bawiłem się lalkami! Cóż bym ja z nią robił?

Ihezał, obojętnie dotychczas słuchająca rozmowy, wzniosła naraz oczy na niego.

Zadrgało w nich jakieś bolesne pytanie, jednakże nie

powiedziała nic; zacięła tylko usta i patrzyła na dalekie morze... Marek spojrzał na nią i raz pierwszy przyszło mu na myśl, że jest prawie naga. Sprawilo mu to nieokreśloną przykrość, że Jeret patrzy tak na nią. Zdjął czerwoną szeroką chustkę, którą miał zawiązaną na szyi, i narzucił ją na drobne ramiona dziewczęcia. Nie poruszyła się wcale ani nawet wzrokiem mu nie podziękowała.

– O czym myślisz? – rzekł Zwycięzca nieco opryskliwie, zwracając się ku zapatrzonemu w dziewczynę Jeretowi.

Uśmiechnął się.

– Myślę, panie, że gdyby nie ty, byłbym stracił całe szczęście życia swojego. Bo anibyś śmiał, ani mógł opierać się prawu i ciało Ihezał żarłby już piasek w tej chwili...

Patrzył na dziewczynę płonącymi oczyma, nie śmiejąc się jednak zbliżyć do niej, czy to ze względu na obecność Zwycięzcy, czy też nieruchomą i zadumaną postawą jej powstrzymany.

– A ty – zapytał Marek – ty o czym myślisz teraz?

Wzniosła na niego smutne, ale jasne i spokojne oczy.

– Śni mi się powieść dawna, spisana w księgach ukrytych w skarbcu świątyni... Śni mi się błogosławiona prorokini Ada, która, nie znając męża, służyła niegdyś Staremu Człowiekowi, a kiedy na Ziemię powracał, odprowadziła go aż po krańce *Wielkiej Pustyni* i tam już życia dokonała, patrząc w daleką gwiazdę...

Zwycięzca roześmiał się nieco wymuszenie.

– Ja jestem „Młody Człowiek” – rzekł – i kiedy będę wracał na Ziemię, wezmę cię z sobą... Wezmę was oboje – poprawił się, wskazując na Jereta – tam będziecie szczęśliwi...

Ihezal uśmiechnęła się lekko, nie odwracając już oczu od wielkiego siniego morza.

V

Słońce zaledwie zaczynało się przechylać ku zachodowi, kiedy po zburzeniu zamku szernów lud odprowadzał w tryumfie Zwycięzcę do świątyni, obwołując go jedynym panem globu księżycowego...

Walka była ciężka i długa. Szturm przypuszczano w samo południe, w porze, kiedy codziennie szaleją burze nad wielkim księżycowym morzem – i w mgnieniu oka przełamano obronne mury dziedzińca. Ludzie, którzy dawniej na samą myśl o szernach z zabobonnym lękiem kreślili zbawczy znak Przyjścia na piersi i ustach, teraz – widząc obiecanego Zwycięzcę na czele szeregów – rzucali się w wir boju z zapamiętałością i odwagą niesłychaną. U bram trójszczytowej wieży jednakże spotkali się z oporem, o który mało co nie rozbiło się ich waleczne natarcie. Tym razem nie szernowie to byli, ale morcy, którzy, zbiegłszy sromotnie w pierwszym boju, teraz rozpaczliwie się bronili do ostatniego tchu, wiedząc, co ich czeka w razie pogromu. Każde drzwi trzeba było oddzielnie zdobywać, każdy korytarz i zakręt schodów, niemal stopień każdy.

Morcy, wyparci przeważającą liczbą z jednego stanowiska, cofali się na drugie, wyżej położone, broniąc się wciąż zaciekle. W ogłuszających grzmotach rozszalałej burzy postępowano w ten sposób z wolna ku szczytowi wieży, ślizgając się we krwi

i gubiąc w ciemności wąskich przechodów⁶³, spotęgowanej jeszcze gęstymi na niebie chmurami i deszczem ulewnym.

Zwycięzca nie brał osobiście udziału w walce toczącej się wewnątrz; zbyt wielki wzrostem, aby się w ciasnych krużgankach móc swobodnie poruszać, pozostał na zewnątrz i stamtąd całą bitwą dowodził, bacząc jedynie, aby kto z obleżonych nie uszedł, z zamętu boju skorzystawszy. I to był rzeczywiście zamiar zamkniętych w wieży szernów. Widząc, że strach przed ich imieniem, który dotychczas ludzi z dala trzymał od warowni, znikł bez śladu, a o zwycięstwie już wątpliwszy, pozostawili morcom obronę dostępu na najwyższe piętra, a sami poczęli się gromadzić na wąskiej platformie między trzema szczytami, czatując już tylko na sposobną chwilę do ucieczki. Spostrzegł ich Marek i z ruchów zrozumiał, że chcą skorzystać z niedołącznych skrzydeł swoich i rzucić się ku morzu ponad głowami napastników, a opanowawszy tam pod słabą strażą ludzką zostawione okręty, ująć bez obawy pościgu do ojczystych swych krajów. Krzyknął więc na Jereta, którego niejako w charakterze adiutanta miał przyboku, aby flotylli w zatoce pilnował, sam zaś zgromadził co najlepszych łuczników koło siebie i z ich pomocą począł razić zjawiających się na dachu szernów. Strzały z cięciw, słabymi napinanych rękoma, rzadko wprawdzie donosiły i małą wyrządzały szkodę, ale za to palna broń Zwycięzcy straszliwe wśród szernów czyniła spustoszenie. Po niejakej chwili pozostali przy życiu przestali się już nawet

⁶³ *przechód* – dziś: przejście. [przypis edytorski]

jawić na dachu i zwątpiwszy snadź⁶⁴ o możliwości ucieczki za pomocą skrzydeł, szukali tylko wewnątrz murów ocalenia.

Był to jednak moment, kiedy przerzedzone szeregi morców z najwyższego piętra wyparte rzuciły się były właśnie w popłochu ku szczytowi, chcąc zająć ostatnie obronne stanowisko u miedzianej kraty, zamykającej wejście na dach. Dwie fale spotkały się na ciemnych schodach – i szernowie, pogromem rozwścieczeni, rzucili się z góry na morców, pędząc ich na nowo do śmiertelnej walki. Morcy, z dwóch stron napastowani, wpadli w szal. Strachem i wciąż tłumiona nienawiść do pomiatających nimi panów wybuchła nagle z rozkiełzaną potęgą. Nie bacząc, że ludzkie bronie z tyłu śmiercią im grożą, zwrócili się ku górze i natarli gwałtownie na swoich ojców i ciemiężycieli.

Walka była krótka. Szernowie, nie wytrzymawszy naporu liczniejszej kupy, rzucili się z powrotem na dach, otwierając przejście goniącym za nimi morcom. Tutaj jednak powitał ich znowu zabójczy ogień Zwycięzcy. Oszałeli tedy, straciwszy wszelką nadzieję ratunku, puścili się wszyscy lotem, jak chmara olbrzymich i strasznych sępów, wprost na Marka, chcąc na tym groźnym olbrzymie pomścić przynajmniej śmierć swoją niechybną.

Kilku ich już tylko było, jednak Zwycięzca, z nagłą napadnięty, byłby im uległ niechybnie, gdyby nie zgromadzeni koło kolan jego łucznicy, którzy z niesłychaną zręcznością szyli strzałami rzucających się na niego wrogów. Mimo to otrzymał

⁶⁴ *snażyć* (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

kilka strasznych uderzeń prądu z ręki napastników, jeden zdążył nawet rzucić mu się na pierś i zduszony potężną dłonią olbrzyma, trupem jeszcze wisiał na nim, uczepiony dziobem i zadzierzYSTymi szponami nóg.

Marek, osłabiony i wyczerpany długą walką, osunął się na ziemię, kiedy ze szczytu wieży zabrzmiał okrzyk tryumfu. Ludzie po wymordowaniu morców opanowali zamek w zupełności.

Bronił się jeszcze tylko jeden Nuzar, podręczny niegdyś Awija, z krwawym piętnem na gębie. Wdrapał się on na jeden z trzech ostrych szczytów wieży i stamtąd, zrywając dachówki, raził usiłujących go na próżno dosięgnąć napastników. Ludzie, wewnątrz wieży walczący, nie mieli łuków ani proc z sobą, poczęli tedy wołać na pozostałych w dole, aby broń przynieśli, gdy z nagłą wybuchający niespodziewany pożar na dolnych piętrach zmusił ich do cofnięcia się.

Nuzar pozostał sam. Widząc uchodzących zdobywców zsunął się z ostrego stożka i siadł na gzymsie platformy, oczekując spokojnie śmierci. Spostrzegł go z dołu Zwycięzca i począł wołać, aby uchodził przed pożarem, obiecując mu życie i zdrowie. Morzec wahał się przez chwilę, obietnicy snadź⁶⁵ nie dowierzając, gdy jednak Marek powtórzył zapewnienie, wyciągnął pęk lin z ukrycia i uwiązawszy je u balustrady, spuścił się z płonącej baszty w sam środek ludzkiego tłumu. Widząc go zawieszonym w powietrzu, kilku łuczników napięło

⁶⁵ snadź (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

ciężcy, biorąc go już na cel niechybnym strzałem, ale Marek powstrzymał ich dość wcześnie, nakazawszy szacunek dla swego przyrzeczenia.

– Jest moją własnością ten morzec – wołał – kto go tknie, moją własność naruszy!

Tymczasem on dosięgnął już ziemi, ale nie wierzył jeszcze w swe ocalenie, bo nie oddalał się od płonącej baszty, śledząc jeno⁶⁶ nieufnym okiem otaczających go ludzi.

Zbliżył się Elem ku niemu.

– Chodź, psie parszywy, do Zwycięzcy – rzekł.

Morzec mruknął coś, ale ruszył posłuszny za arcykapłanem wśród rozstępujących się z wyrazem wstrętu i nienawiści ludzkich szeregów.

Marek, siedząc wciąż na ziemi, dał mu znak, aby się zbliżył.

– Panie, jest niezwiązany, miej broń w pogotowiu – ostrzegwał Elem.

Jeret, który powrócił był właśnie od okrętów, zaśmiał się.

– Lepiej go związać od razu – rzekł rzucając pętlę, aby pochwycić w nią szyję morca.

Było już jednak za późno. Nuzar, odbiwszy powróż lewą ręką, wyciągnął nóż prawą w zanadrzu dotychczas ukrytą i błyskawicznym ruchem rzucił się na Zwycięzcę, godząc w jego obnażoną szyję.

Zwycięzca uchylił się przed ciosem i pochwycił uzbrojone ramię morca, wznosząc go wysoko ponad głowę. Nuzar chciał

⁶⁶ jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

się bronić zębami, ale dosięgnął tylko zwisającego rękawa Zwycięzcy i począł kasać zajadle.

– Śmierć! śmierć! – wołały zewsząd oburzone nienawistne głosy.

– Będzie żyw – rzekł Marek – potrzebny mi on do menażerii... Dajcie jeno powroza.

Morzec zwinął się w potężnym uścisku Markowych dłoni, ale nie jęknął nawet ani się już nie bronił, gdy ten krępował mu ciasno ręce na plecach złożone.

Rzucił koniec sznura Jeretowi.

– Zaprowadź go do skarbcza, tam, kędyście owego szerna przytroczyli. I pilnuj. Gdy kiedyś wracać będę na Ziemię...

Nie dokończył zdania. Zaśmiał się tylko głośno do siebie na myśl, jakie nadzwyczajne przywiezie okazy z sobą.

Tymczasem walka była nieodwołalnie i pomyślnie skończona. Oprócz morca ujętego ani jeden z mieszkańców wieży nie pozostał żyw.

Burza, szalejąca prawie przez cały czas, ustała teraz. W północnej stronie nieba, około wysokiego stożka krateru *Otamora*, kłębiły się jeszcze i przewalały czarne chmury – grzmot stamtąd szedł jeszcze przytłumiony, daleki – ale nad miastem i morzem świeciło już jaskrawe słońce na bladym, księżycowym błękiecie...

Marek w weselnym orszaku wracał ku świątyni. Patrzył na to słońce i dziwno mu było, że zaledwie zdążyło wypełznąć od horyzontu po zenit przez ten czas, w którym tak wiele rzeczy

się stało... Wszakże o świtanu zoczył dopiero z dala mury tego miasta – i ranek był, kiedy go na stopniach tej świątyni witano – a oto teraz odprowadza go lud tutaj, jako do domu, i sławi go, zwycięzcę w dwóch krwawych bitwach i samowładnego pana wszystkiej księżycowej krainy.

Takie to było niepojęte i tak nagłe, a tak po prostu się stało, że uśmiechnął się mimo woli ze zdziwieniem, jakby do snu własnego, myśląc o tym wszystkim. Wprawdzie od świtanu do tej chwili, po ziemsku licząc, tydzień z górą upłynął, ale tutaj jest pół dnia dopiero – i zdawać by się mogło, że to sen był przedziwny, gdyby nie ten lud, wznoszący wokół okrzyki i zieleń mu pod nogi ścielący, gdyby nie te dymy ciężkie, co się tam w północnej stronie pod czarnymi chmurami włóczą dookoła zwalisk i zgłiszczy...

Na schodach świątyni odprawił tłum do domów. Mimo wyraźne jego życzenie nie chciano się rozchodzić i długo, długo wznoszono jeszcze na cześć jego okrzyki, zbawcą go zowiąc, zwycięzcą, ukochaniem i od wieków oczekiwanym błogosławieństwem księżycowego globu, aż ujść w końcu musiał do wnętrza przed tymi niekończącymi się uwielbieniami... Nie chciał nawet, aby mu towarzyszył Elem lub ktokolwiek z dodanych mu do służby ludzi.

Odczuwał nieprzepartą potrzebę samotności: chciał wreszcie poza tym gwarem tłoczących się wydarzeń zastanowić się trochę, połapać się, rozważyć. Zdawało mu się, jakby myśli jego samej tchu brakowało – i musi teraz tego tchu zaczerpnąć, jeżeli nie ma

pozostać w tyle poza stającymi się bez jego udziału zdarzeniami.

A przy tym znużony był i senny. W przeciągu stu kilkudziesięciu godzin, które upłynęły od świtania, spał bardzo mało, a nie miał natury tych księżycowych karłów, niemal bezsennie przetrzymujących trzysta pięćdziesięciogodzinny dzień... Ubezwładniał go upał południa i miarowy, jednostajny łoskot rozfalowanego jeszcze po burzy morza.

Wszedł do wnętrza świątyni i zamknął kute brązowe drzwi za sobą.

Mrok go ogarnął nagły, barwnymi witrażami okien rozżeczony, i chłód, z podziemnych gdzieś gmachów bijący.

Pusta świątynia wydała mu się czymś wielkim i tajemniczym – jakąś istotą żywą, której naraz serce i treść bytu wydarto; nieledwie olbrzymią maszyną, która w ruchu była przez wieki całe, a teraz nagle stanęła za jego przybyciem. Patrzył na znaki złote i napisy, z dziwnie poplątanych liter złożone, i myślał, że miały one znaczenie, a teraz stały się nieme i głuche, z chwilą gdy on tu wszedł i zapowiedź – może wielką? – którą one głosiły, zwrócił mimo woli na siebie. Lęk go ogarnął niemal zabobonny. Rankiem jeszcze sądził, że on jest – nie wiedząc o tym – tym przyobiecany nędznemu księżycowemu ludowi wybawicielem, a teraz gotów by prawie uwierzyć, że wdarł się w miejsce, które istotnie do kogoś należało, że przywłaszczył sobie lekkomyślnie czyjeś tajemnicze i wielkie prawa – i oto każdy napis zagadkowy i złoty z tych ścian patrzy na niego złowieszczo a groźnie, jak na samozwańca...

Odruchowo chciał biec i zwołać lud, i krzyczeć...

Uśmiechnął się sam do siebie.

– Znużony jestem i senny – rzekł głośno.

A potem przypomniały mu się słowa, niegdyś przed wiekami na Ziemi przez mędrca wielkiego wypowiedziane: „Tak daleko sięga prawo człowieka, pokąd sięga jego moc...”.

– Znużony jestem i senny – powtórzył – i taki niemocny teraz i dlatego w prawo swoje zbawiania tego ludu nie wierzę...

Prawo – zbawiania!...

W głębi pomiędzy dwoma filarami przygotowano mu posłanie, ale nie mógł się jakoś jeszcze odważyć, aby legnąć tu na sen – w tym świętym miejscu.

Zachciało mu się naraz powietrza i przestrzeni. Po krętych, nie dość dla ogromu ciała jego wygodnych schodach wyszedł na dach i rzucił się w pełnym słońcu na kamienną posadzkę platformy.

Przez małą chwilę usiłował myśleć o tym wszystkim, co się tu dzieje, i zdać sobie sprawę z tego, co go to wszystko obchodzi i czemu właściwie tak czynny udział bierze w wydarzeniach, ale myśli rozpiezchłe nie chciały go słuchać.

Ciężka senność zawierała mu z wolna powieki. Rozgrzane, od pożaru słonecznego drgające powietrze paliło go w piersi za każdym oddechem, żar głowę ogniem mu obejmował, ale on nie czuł już siły, aby się w cień usunąć...

„Zrobię to za chwilę” – myślał zasypiając, rozleniwieniem znużenia objęty...

Morze uspokoiło się już po burzy i gdy wzniósł jeszcze na chwilę ciężkie powieki, lśniło mu w oczy ogromną, blasku i przestrzeni pełną powierzchnią, zlewając się w snem zamroczonej myśli jego z marzennymi obrazami Ziemi.

Zasypiał, gdy naraz zdało mu się, chłód jakiś rozkoszny i wonny wionął mu w twarz – niby ktoś zawołał na niego z cicha po imieniu – zamajaczyły mu włosy złote, na drobną, tak zabawnie drobną i białą pierś dziewczęcą rozsypane – usta drgające, purpurowe...

Chciał sobie jeszcze imię, jakieś imię przypomnieć...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.